



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz pełnym lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

OD REDAKCYI.

Na mocy rozporządzenia Wydziału prassy, wydanego za nr. 5,966, w obowiązkach redaktora „Bluszcza“ zatwierdzony został p. **Maryan Gawalewicz**, — jako wydawca zaś tegoż pisma p. **Piotr Laskauer**, którzy odtąd „Bluszcza“ podpisywać będą.

Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ

(1829—1830).

(Ciąg dalszy).

Samo się przez się rozumie, że jedną z pierwszych czynności po przybyciu nad modry Dunaj, było udanie się do Nideckiego i Würfla, których znajomość stosunków miejscowych wielce mu mogła być przydatną. Jakoż odwiedził ich zaraz pierwszego dnia. Nidecki, któremu przywoził najserdeczniejsze pozdrowienia od Elsnera, przyjął go nadzwyczaj serdecznie, jak przystało na prawdziwego przyjaciela, i odtąd widywali się po kilka razy dziennie, mnóstwo czasu spędzali razem.

Nidecki wciąż czynił mu najrozmaitsze ułatwienia, udzielał objaśnień i informacji, słowem, robił wszystko, co było w jego mocy, by Fryderykowi okazać swą nieklamana przyjaźń i życzliwość dla niego, a także radość z jego przyjazdu. Niemniej przyjacielskim i usługowym okazał się Würfel, który, jako kapelmistrz w Kärtnerthortheater, mógł mu w wielu razach być pomocnym. Jakoż nie omieszkął uczynić wszystkiego, co tylko po- byt w Wiedniu jego genialnemu pupilkowi warszawskiemu uprzyjemnić i umilić mogło. „Istotnie Würfel wszystko mi ułatwił... On i w Warszawie był dla mnie dobrym. Elsnera najmilej wspomina. Nie piszę, ile Würfel dla mnie dobry, bo tego opisać nie można.“

Z listów polecających, które przywiózł z sobą z Warszawy, młodzieńcy maestro skorzystał z tych przedewszystkiem, które były adresowane do Polaków; z tych najbardziej podobał mu się dom Hussarzewskich. Stary Hussarzewski „entuzjazyzmował się“ grą młodego wirtuoza i zaraz w czasie pierwszej jego wizyty, prosił go na obiad... Prócz Hussarzewskich znalazł tu Chopin więcej jeszcze ziomek, co go w ogóle dobrze uprzedziło do grodu św. Szczepana. „Wiedzi mi się podobno i Polaków w nim dosyć. W balcie nawet jest jeden...“

Do kogo także nie lenił się pójść z listem polecającym, to do nakładcy Haslingera, u którego przecież od roku już znajdowały się rękopisy: „Waryacy z Don Juana“ i „Sonaty op. 4.“ „Haslinger dzięki listowi pana Elsne-

ra nie wiedział, gdzie mię posadzić. Kazał zaraz synowi grać przedemną, pokazywał, co tylko miał we względzie muzycznym najciekawszego, i przeproszał, że żony przedstawić nie może, bo jej w domu niema. Z tem wszystkiem jeszcze moich rzeczy nie drukował. Nie pytałem go się o nie, ale pokazując mi najpiękniejszą swoją edycję, oświadczył, że moje „Waryacy“ podobnież za tydzień w „Odeonie“ tym wyjdą.“

U Haslingera poznał się Chopin z wybitnym dziennikarzem i recenzentem muzycznym i teatralnym, Blahetką, którego córka, panna Leopoldyna Blahetka, należała do najpierwszych fortepianistek w Wiedniu¹⁾. Panna Blahetka, jako młoda i „bardzo piękna“ dziewczyna, bardzo się podobała Chopinowi, gdy ją poznał; zwłaszcza on się jej podobał nadzwyczaj. Za to nie był wcale zachwycony jej grą, panna Blahetka bowiem „strasznie waliła po instrumencie“, co bezwarunkowo raziło jego subtelne poczucie muzyczne. Bądź co bądź, bardzo był rad z tej znajomości,

¹⁾ W „Kuryerze Warszawskim“ z listopada r. 1829-go znajduje się między innymi taka wiadomość: „Z listu Polaka w Wiedniu bawiącego dowiadujemy się, że teraz tamże znajduje się kilka wirtuozek-fortepianistek, między którymi panna Blahetka i panna Belwil szczególnie podobają się, każda w swoim rodzaju gry. Kilka koncertów, danych przez panna Blahetkę, bardzo dobrze publiczność wiedeńska przyjęła. Panna Belwil ukształcona w Paryżu, osobliwie zajmuje elegancją gry. Obie te artystki, zachęcane przez Polaków bawiących w Wiedniu, wybierają się do Warszawy. Te utalentowane panienki są młode i bardzo piękne.“

a chwile spędzone w domu Blahetków, zwłaszcza te, które spędzał sam na sam z młodą „córką redaktora,” stanowczo mógł zaliczyć do swych najmiłszych w Wiedniu... Oczywiście, że niemało muzykowali wspólnie. Do najprzyjemniejszych znajomości w świecie muzycznym, jakie teraz Fryderyk porobił nad Dunajem, należało poznanie się i zbliżenie ze słynnym skrzypkiem Ignacym Schuppanzigh¹⁾, dyrektorem orkiestry w Operze dworskiej, a jednocześnie organizatorem sławnych wieczorów kwartetowych, na których z ogromnem powodzeniem wykonywał ostatnie kwartety Beethovena. Był on osobistym przyjacielem twórcy „Dziwiątej symfonii,” a cieszył się sławą jednego z najtęższych muzyków współczesnych. Chopina przyjął nadzwyczaj serdecznie, a poznawszy go lepiej, odrazu ocenił należycie. „Schuppanzigh, do którego miałem także listy, powiedział mi, że chociaż nie daje więcej zimowych kwartetów, jednakże będzie się starał urządzić choć jeden w czasie mojej w Wiedniu bytności...” Nie doszło jednakże do tego.

Niemało także miało dla Chopina uroku osobiste poznanie się z Wojciechem Gyrowetzem, tym samym, którego koncert fortepianowy grał w r. 1818-ym na owym koncercie dobroczynnym, urządzonym przez panią Zamoyską. Okoliczność ta musiała dlań znajomość z Gyrowetzem czynić podwójnie interesującą, tem bardziej, że autor „Semiramidy,” był jako drugi, obok Schuppanzigha, dyrektor i kapelmistrz Opery dworskiej, bardzo miłym i serdecznym człowiekiem, a wśród miejscowych muzyków zajmował stanowisko pierwszorzędne. Nadto był to jeden z najwybitniejszych fortepianistów ówczesnych. Dla Chopina okazał się nadzwyczaj życzliwym...

Podobnie znalazł się wobec niego Franciszek Lachner²⁾, pierwszy kapelmistrz przy Kärthnerthortheater. Jeden z najznakomitszych kontrapunkcistów, świetny wirtuoz na fortepianie i wiolonczeli, a zwłaszcza na organach (był organistą przy wiedeńskim kościele protestanckim), wybitny kompozytor, przyjaciel Beethovena i Schuberta, należał już pomimo młodocianego wieku do najpierwszych powag w świecie muzycznym wiedeńskim, dla Chopina zaś, z którym go poznał Würfel, odrazu powziął szczerą sympatię i przyjaźń. Kolegą Lachnera, tylko starszym od niego o lat 22, był Konrad Kreutzer³⁾, autor słynnej opery „Libusza,” oraz wielu kwartetów, kwintetów, etc., a także kapelmistrz przy Kärthnerthortheater. I on należał do tego kółka muzyków, w które zaraz Würfel wprowadził Chopina. W podobny sposób nastąpiło jego poznanie się z Ignacym Ksawerym Seyfriedem⁴⁾, uczniem Mozarta i Wintera, przyjacielem Beethovena, autorem całego szeregu oper i kompozycji instrumentalnych, wybitnym fortepianistą, a przytem i literatem potroszę. Był on korespondentem z Wiednia do lipskiej „Allgemeine Musikalische Zeitung” i do mogunckiej „Cecylii,” co mu w wiedeń-

skim świecie muzycznym nadawało niemałą pozycję. Był to jeden z tych, z którymi się liczone najbardziej. Pozyskać sobie jego względy było dla Chopina rzeczą wielkiej wagi. Bardzo miłym człowiekiem okazał się także Józef Mayseder¹⁾, pierwszorzędny skrzypek, uczeń Schuppanziga, w którego słynnych kwartetach grywał drugie skrzypce. Jako solista w orkiestrze opery dworskiej, wysoko ceniony nawet przez samego Paganiniego, był to także niepospolicie utalentowany kompozytor, zajmujący jedno z najpocześniejszych miejsc w literaturze skrzypcowej i kameralnej, a rodzaj gry jego, subtelnej, wykwintnej i pełnej wdzięku, musiał trafić do przekonania Chopinowi... Niemniej zaszczytnym był dlań serdeczny stosunek ze słynnym pedagogiem muzycznym i autorem najrozmaitszego rodzaju etiud fortepianowych, Karolem Czernym, uczniem Beethovena, a nauczycielem Liszta i Thalberga... „Z Czernym poznałem się za pan brat²⁾. Na dwa fortepiany często u niego grywałem. Dobry człowiek, ale nie więcej.”

W każdym razie wrażenie, jakie młody twórca „Waryacy z Don Juana” zrobił na autorze „Toccaty,” wypadło bardzo na jego korzyść. Czerny był dlań z prawdziwie serdecznym wylaniem, graniczącem aż z czułością. „Czerny — pisał o nim ironicznie Chopin w jednym ze swych listów do domu, — czulszy, aniżeli wszystkie jego kompozycje.” Nie mógł tego żadną miarą powiedzieć o suchym i sztywnym kompozytorze różnych mierzonych muzyk baletowych, hr. Robercie Gallenbergu³⁾, przedsiębiorcą Kärthnerthortheateru, głośnym nie tyle ze swego talentu kompozytorskiego, wszystko bowiem, co skomponował, było bez trwalszej wartości, ile z tego, iż był ożenionym z piękną hrabianką Giuliettą Guicciardi, tą samą, w której niegdyś kochał się młody Beethoven, i która go natchnęła do napisania słynnej „Sonaty księżycowej,” jej dedykowanej; z tego względu mogła niezbyt sympatyczna figura szczęśliwego rywala Beethovena budzić niejake zaciekawienie we Fryderyku. Zresztą był to człowiek nie ciekawy, w sferach muzycznych wiedeńskich znany głównie ze swego skąpstwa, które jednocześnie szło w parze z nieustannymi kłopotami finansowymi. Dla Chopina okazał się bardzo uprzejmy, co zresztą leżało w jego własnym interesie... Również uprzejmym okazał się dlań redaktor i wydawca „Wiener Theaterzeitung,” Adolf Bäuerle, z którym tem bardziej należało się liczyć, że był nietylko utalentowanym autorem wielu sztuk dramatycznych (z których szczególnie „Fałszywa Catalani” nadzwyczajnem na wszystkich scenach cieszyła się powodzeniem), ale że jako ostry i surowy krytyk, był postrachem wszystkich artystów. Chopin jednak potrafił mu się przypodobać i zyskać jego łaskawe względy, a zaczął od tego, że przedewszystkiem zapre-

numerował jego gazetę. Wcale nienajgorszy sposób!... Kogo sobie Fryderyk także podbił odrazu, to Steina i Graffa, dwóch najwybitniejszych fabrykantów fortepianów wiedeńskich. „Stein chciał mi natychmiast dać jeden z instrumentów swoich do domu, a potem na koncert, gdybym go dał. Graff, który jednakże lepszym od niego jest fabrykantem, powiedział mi to samo... Stein bardzo dla mnie grzeczny i przyjacielski, lecz na jego instrumencie graćbym nie mógł, prędzej na Graffa. Bardzo się także zaprzyjaźnił z młodym Steinem.

Wspomniana tu kwestya koncertu wysunęła się na pierwszy plan prawie od chwili przybycia Fryderyka do Wiednia, a przynajmniej od chwili, gdy go usłyszeli niektórzy tutejsi muzycy, a nadewszystko Würfel. Ktokolwiek go usłyszał, każdy, czy to był wydawca, jak Haslinger, czy fabrykant fortepianów, jak Stein lub Graff, czy muzyk z zawodu, jak Schuppanzigh, czy recenzent muzyczny, jak Blahetka, czy przedsiębiorca teatralny, jak Gallenberg, wszyscy, jakby się zmówili, namawiali go, by się dał słyszeć publicznie, wszyscy byli jego grą zachwyceni, rozentuzjazzmowani. „Nie wiem, co to jest, ale Niemcy mi się dziwią, a ja im się dziwię, że oni się mają czemu dziwić.” „Tutejsi mówią, że Wiedeń dużoby stracił, gdybym wyjechał, nie dawszy się słyszeć. Są to wszystko dla mnie rzeczy niepojęte. Na obiedzie u Hussarzewskich było dużo Wiedeńczyków i jakby się z nimi zmówił, kazali mi wszystkim grać publicznie... Gdzie się obróć, kłękoczą mi wszyscy głowę, ażeby grać. Dziwią się tutaj, jak Kessler, Ernemann i Czapek mogą siedzieć w Warszawie, kiedy ja tam jestem. Ale ja im tłumaczę, że *bloss aus Musikliebe* gram i że lekcji nie daję. Haslinger zachęca mnie, ażebym grał publicznie... Utrzymuje, iż dla kompozycji moich lepiej będzie, jak je Wiedeń usłyszy, że gazety zaraz pochlebnie napiszą, za co wszyscy ręczą..., że moje imię nieznane, a kompozycje trudne a niepozorne. Ja jednak, nie myśląc teraz jeszcze na seryo występować, zresztą nie grawszy od paru tygodni, odmówiłem, mówiąc, że nie jestem w stanie popisywać się przed tak znakomitą publicznością. Na tem stanęło, gdy tymczasem nadszedł hrabia Gallenberg, co to piękne balety pisze, a który w Wiedniu jest na czele teatru, i temu mnie Haslinger, jako tchórze, bojącego się wystąpić, zaprezentował. Hrabia był tyle grzeczny, że ofiarował teatr, a ja byłem tyle o sobie przekonany, że mu podziękował, odmawiając. Nazajutrz pukał ktoś do stancyi; patrzę, wchodzi Würfel. Zaklina i powiada, że wstydbym zrobił rodzicom, Elsnerowi i zresztą samemu sobie, gdybym mając okazję, nie dał się słyszeć w Wiedniu. Würfel utrzymuje, iż ażeby pokazać coś nowego i narobić hałasu, koniecznie grać potrzeba. Tutejszy żurnalista, p. Blahetka, którego poznałem u Haslingera, także mi każe występować. „Waryacje” im się strasznie podobają. Słowem, kto mnie usłyszy, każe grać, a Würfel jeszcze tę uwagę dodał, że kiedy już jestem raz w Wiedniu i rzeczy moje mają wyjść niebawem, ażebym koniecznie wystąpił, bo inaczej chyba umyślnie musiałbym przyjechać. Zaręcza, iż teraz pora naj-

¹⁾ Ur. r. 1776-go w Wiedniu, zmarły tamże dnia 2-go marca 1830-go roku.

²⁾ Urodzony 2-go kwietnia r. 1803-go w Rain w Bawarii.

³⁾ Urodzony 22-go listopada r. 1780-go.

⁴⁾ Urodzony w Wiedniu r. 1776-go.

¹⁾ Urodzony w Wiedniu r. 1789-go.

²⁾ Z Czernym poznał się Chopin za pośrednictwem Haslingera. W pierwszym liście z Wiednia do rodziców (8-go sierpnia r. 1829-go) pisze Chopin: „Znajomości muzycznych mam już dosyć: Czernego tylko jeszcze nie znam, ale Haslinger obiecał mi z nim poznać.” Czerny w r. 1829-m liczył sobie lat 38. Urodzony w r. 1791-ym.

³⁾ Urodzony w Wiedniu r. 1783-go.

stosowniejsza, bo Wiedeńczycy głodni są nowej muzyki. Nie godzi się młodemu artyście porzucać takiej sposobności. Zresztą, gdybym występował, jako egzekutor tylko, mniejby to znaczyło, ale ukazuję się ze swojemi dziełami, więc śmiało mogę się odważyć. Chce on, ażeby grał naprzód „Waryacje,” potem „Rondo à la Krakowiak,” dla uderzenia nowością, a nakoniec ażebym improwizował. Czy przyjdzie do czego, jeszcze nie wiem¹⁾.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Zygmunt spuścił głowę; zrozumiał, że to nieodwołalne słowa. Ale po chwili milczenia rzekł:

— Więc cóż teraz będzie z nami? z miłością naszą? Czy to możebne, aby dwa osobniki ludzkie, które wśród tylu milionów ludzi dobrały się i dopasowały, jak dwa jednokowe ziarenka w korcu maku, pierwsza przeszkoda bez walki i oporu zdołała rozdzielić?

— Rozdzielić? nie! — odparła żywo Malwa. — Czemużby nam nie pójść za przykładem Jura i Klary? Wszak ich także dopasowało z sobą uczucie niezwyklej miary; wszak między nimi także stało to, czego zwalczyć się nie godzi — przeszkoda moralnej natury. Ale są wolni oboje, rozporządzać swem sercem mają prawo, — więc rozłożyli miłość na jej dwa zasadnicze składniki, realny odrzucili, idealny zatrzymali — i nie mogąc mieć całego szczęścia, zadawalały się jego połową.

— A czy to długo może potrwać?

— Jeżeli miłość jest mocna, jak śmierć — to trwa do śmierci.

— Nie o miłości mówię — tylko o szczęściu: czy taki stan rzeczy zadowolić może?

— Jak kogo. Klara zadawała się nim w zupełności, a Jur w ostateczności. Jur powiada, że Klara, jako ulegająca newroznie ciąglego patrzenia w górę, woli widzieć kanarkę na dachu, niż trzymać wróbla w kieszeni; on zaś radby mieć wróbla, ale woli patrzeć na kanarkę, niż w próżnię.

Malwa uspokoiła się już i mówiła z uśmiechem, usiłując rozweselić Zygmunta; ale Zygmunt był wciąż chmurny, jak noc, i rzekł posepnie:

— Dobrze Jurowi bawić się w takie rzeczy; on jest neo-romantyk, różnemi modernistycznymi mrzonkami nasiąknięty, więc może mu przypada do gustu takie wyodrębnianie się z pomiędzy przeciętnych filistrów, którzy kochają się po prostu na to, aby się ożenić. A ja jestem szlachcic swojskiego pokroju, który chciałby, żeby jego wybrana podzie-

liła z nim realną stronę życia, jego praktyczną działalność, jego prace i cele.

Malwa znów posmutniała, zawahała się chwilę i rzekła niepewnym głosem:

— W takim razie trzeba panu życzyć, aby pan dobrał sobie towarzyszkę, która...

— Panno Malwo! — przerwał Zygmunt z wyrzutem, — czy to być może, żeby pani w ten sposób rozumiała moje słowa? Więc powtórzę pani, co powiedziałem przed chwilą mojej matce: dałem słowo honoru, że się nigdy nie ożenię. Przekona się pani, że to, co mocne jak śmierć, przetrwa do śmierci!

Czoło Malwy znów się rozpogodziło.

— Więc — rzekła, — pan nie odrzuca tego... jakby to nazwać?...

— Kanarka na dachu? — Zygmunt uśmiechnął się nareszcie. — Rozumie się, że nie; skoro nie więcej mieć nie mogę; ale przyzna pani chyba, że bez nadziei ciężkie życie?

— Mnie się zdaje, że życie zupełnie bez nadziei niezmierznie rzadko się zdarza; nadzieja zawsze się gdzieś wśliznie i zatai, choć się do niej nie przyznajemy. Więc chociaż mówimy sobie, że w obecnym naszym położeniu nic się nigdy nie zmieni, jednakże w jakiejś kryjówce serca nadzieja szeptać nam wciąż będzie, że kiedyś — może Bóg przemieni serce matki pana. A tymczasem cieszymy się połową szczęścia — dobrze?

Spojrzała mu w oczy serdecznie, a jemu wzrok zamgliło wzruszenie.

— Połowa szczęścia... — szepnął — tylko połowa... gdybyż choć trzy czwarte!...

Nachylił się ku niej po nad wrotami, i przyciągnął obie jej ręce do ust pałających.

A wtem „Hetman“ rozdał chrapki, parsknął, wysunął suchą główkę z mądrymi oczyma i skubnął niecierpliwie fałdzisty rękaw haftowanej złotem koszuli.

Malwa odwróciła żywo twarz zarumienioną, przytuliła ją do lśniącej szyi pięknego zwierzęcia i rzekła, klepiąc go pieszczotliwie:

— Przywołujesz nas do porządku?... masz rację!... Panie Zygmuncie, „Hetman“ upomina się o chleb z solą; niech go pan przywiąże i chodźmy.

Weszli do izby, gdzie Jur siedział u okna, mocno zajęty pracowitem wyrzynaniem ramy z dębowego drzewa. Obok stały krosna Malwy z rozpoczętą robotą.

— Patr! — rzekł wesoło Jur, witając się z Zygmuntem, — kazała mi panna Klara zabawić się w ex-vota; a że i Malwa ma swoje interesy do wyższej instancyi, więc wynikiem z tego wcale niebrzydki obraz do bocznego ołtarza, na miejsce tego okropnego Jana w oleju.

Zygmunt obejrzał haft Malwy i rzeźbę Jura, podziwiając jedno i drugie.

W krosnach drobnym gobelinowym półściegiem w delikatne półcienie odrobiona już była środkowa część obrazu — twarz młodej wieśniaczki, szczupła, blada i natchniona, objęta płomieniem stosu.

— Błogosławiona Joanna z twarzą świętej Klary, patronki wszelakich ideałów, powiedział z uśmiechem Zygmunt; a potem przypatrując się robocie Jura, — wydatnej płaskorzeźbie z misternie powiązanych godeł rozmaitych, zauważył:

— Symbolizmu używasz sobie do syta: lilie

i miecze, lwy i gołębie, kwitnące serca i pałające kwiaty... A co ma znaczyć ta oto bestya fantastyczna?

— Nie zrozumiesz tego.

— Dziękuję!

— Znasz Apokalipsę?

— Z tytułu.

— No widzisz; dlatego mówię, że nie zrozumiesz.

— Więc dla kogo wynajdujesz takie zawiłe symbole?

— Rozumie się, że dla panny Klary.

— Ona ci wyklada Apokalipsę?

— Nie ona; czytujemy trochę z Kanonikiem.

— Tak?

— Mam robotę w zakrystyi, przy tych pięknych, starych szafach; więc żebym się nie nudził, Kanonik czytuje mi rozmaite rzeczy. I wiesz, przekonał mię, że w naszym tak wszechstronnem wykształceniu dzisiejszem jest jednakże jedna próżna karta: Wszystko studujemy, wszystkiego się obczytujemy, prócz tego właśnie, przeciw czemu najzawzięciej argumentujemy. Ja na przykład zgłębiałem Zend-Awestę, miałem chwilę ciekawości dla Koranu, a najznakomitszych teozofów i apologetów chrześcijańskich znałem dotąd tylko z cytat w dziełach ich przeciwników.

— I jakże ci się ten rodzaj lektury podoba?

— Zaciekawia mię; dużo w nim dla mnie nowego. Wnikając głębiej w sens tej doktryny, widzę, jak niedokładnie lub błędnie jest znana; jak ją opacznie przedstawiają profani. Większość prawowierne ogółu zraża do niej, zamiast pociągać, przyprawiając ją po swojemu. Stawia formułki po nad treścią, co nakazane uważają, jako dowolne, co zalecane tylko — jako nakazane, propozycje hypotetyczne podają za twierdzenia dogmatyczne, zważają i zacieśniają nawet to, co im dozwolono traktować swobodnie i szeroko. Nieraz ze zdziwieniem spotykam w dziełach luminarzy Kościoła dowodzenia bardzo zbliżone do jakiejś teorii naukowej, do jakiegoś poglądu filozoficznego, które ów prawowierne ogół uważa za wyklęte, a których mniemane potępienie przez Kościół, używa się jako argumentu przeciw jego ciasnemu fanatyzmowi.

— To prawda. Pamiętam, jak byłem kiedyś zdziwiony, słysząc Kanonika, dowodzącego możności pogodzenia wielu punktów Genezy z systemem ewolucyjnym Darwina. A sam także raz zostałem odsądzony od prawowierności przez grono dewotek, wobec których powtórzyłem za jakimś chrześcijańskim autorem, że sześć dni stworzenia były milionami lat.

— Widzisz. Dlatego też zajmującym jest czytanie rzeczy, które zaciemnioną doktrynę przedstawiają we właściwym świetle.

Zygmunt położył rękę na ramieniu Jura.

— Więc to światło — rzekł serdecznie — zaczyna już wschodzić dla ciebie, i można mieć nadzieję...

— Otóż masz! — przerwał Jur z nagłym rozdrażnieniem, — że też wy zaraz musicie roić o jakichś cudownych nawróceniach! Tak samo czytałem z zajęciem i tak samo podziwiałem zasady Budaizmu, a dlatego budystą nie zostałem!

¹⁾ Cała ta cytata złożona jest sposobem mozaikowym ze zdań, porozpraszanych bezładnie w listach Chopina do rodziców (z 8-go i 12-go sierpnia r. 1829) i do Tytusa Wojciechowskiego (z 12-go września tegoż roku).

— Czego się irytujesz? czy tak bardzo zależy ci na tem, aby nie zostać nawróconym. Jur posmutniał.

— Wiesz dobrze—rzekł z westchnieniem,— jak bardzo, bardzo zależałoby mi na tem, aby to było możebnem. Ale czyż mogą mistyczne ułudy zakwitnąć na łodydze racjonalnego sceptycyzmu?... Cóżby to był za kwiat?...

— Niezapominajka! — zawołał wesoło Zygmunt, spojrzawszy ku drzwiom, które właśnie skrzypnęły. W progu zabłękitniało, do izby weszła Klara.

Wyswieżona w nową sukienkę z niebieskiego muślinu, zamiast brązowej kapotki, której Jur nie lubił, miała na głowie chwiejne skrzydła czarnego kapelusza, pod którego cieniem czoło świeciło pogodą, a policzki różowiły się delikatną barwą środka białej róży.

— Pani jest bajecznie zjawiskowa! — zawołał Jur, ogarniając ją spojrzeniem.

— A pan jest nieprawdopodobnie impresjonistyczny! — odrzuciła, śmiejąc się. — Dlaczego zamknęliście się państwo między czterech ścian w taką śliczną pogodą? Przychodzę po was: pan Jur niech nie piłuje w niedzielę, a Malwa i pan Zygmunt niech nie marnują pięknego dnia; — chodźmy do łasku na rydzel!

Poszli. Jesienna pogoda ogarnęła ich delikatnem ciepłem i światłem dyskretnem, miłszem, niż żar i blask letni. Bezdźwięczne powietrze, bezwonna łąka i las nieruchomy na miejscu wiosennych upojów rozciągały jakieś rzewne, głębokie, ukojenie. W lesie złożyły się i czerwieniły wśród pozostałej zieleni kępy mających opasć liści, a pod młodem sosenkami z aksamitnej oprawy mchów ciemnozielonych wзираły rumiane, jędrne, po dwa i trzy do siebie przytulone rydzel. Grzybobranicy napełnili swe koszyki, a nachodzący się do woli, usiedli na omszonym wywrocie, i poufała gawędka potoczyła się swobodnie. Wprawdzie wesoły hałas śmiechu i żartów nie głuszył cichego szmeru lecących z drzew liści, rozmowa była poważna, a nastrój trochę tęskny; ale spojrzawszy na nich, można było pomyśleć, że miłość — aby zaspokoić serce — nie zawsze i nie koniecznie potrzebuje pewności połączenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na spotkanie słońca.



Puszczam łódź z biegiem wody.. Niech płynie [w dół rzeki]
Niech ją pierzchliwa fala na grzbiecie kołysze...
W około spokój... i tylko czasem szum daleki —
Senne echo — nadbiega, przerywając ciszę...

Ach, jak cicho!... Na niebie jasny miesiąc świeci.
Srebrzy się senna fala w księżycu promieniach..
Bezruch... a w górze czasem meteor przeleci,
Zabłyśnie na błękitach i ginie w przestrzeniach.

Wzrok mój leniwie śledzi jego smugę złotą,
Dopóki nie zagaśnie, i wraca na fale,
Co jak gdyby wieczystą trawione tęsknotą
Bez chwili odpoczynku płyną w mgliste dale.

Zerwał się lekki wietrzyk, niosąc kwiatów wonie,
Powiewnem skrzydłem burty lotnej łodzi trącił,
Orzeźwił mi na chwilę rozmarzone skronie
I, biegnąc w dal, przed siebie, wodną toń zama-
[cił..

Znów senna cisza... Nagle złote gwiazdy zbła-
[dły,
Błękit wszystkie swe barwy ciemne naraz zmie-
[nił,

Tajemnicze kotary z niebiosów opadły,
I pierwszy promień słońca ziemię opromienił.

Świat czeka, rychło błękit pożarem zapłonie,
Rychło słońce w porannej, różnobarwnej szacie,
Na złocistym rydwanie i w świetlnej koronie
Powstanie po nad ziemią w pełnym majestacie...

Oto wschodzi już jego tarcza złotolita!
Jednym ogromnym chórem cały świat rozbrzmie-
[wa,

A moja dusza hymnem potęgi ją wita,
I narodziny słońca w wielkiej pieśni spiewa.

Henryk Rygiel.



WLADYSŁAW ORDON.

(Ze wspomnień lwowskich).



(Ciąg dalszy).

Dawna ta niegdyś piastunka i powiernica
Bianki postanowiła wraz z dumną swą panią—
zażartować z biednego Allana. Udała tedy
wielką dla niego przychylność, zapewnia, że
i Bianka podziela jego uczucia i naznacza
mu w jej imieniu spotkanie w tejże samej
świątyni, w której oszalały z miłości Allan,
ujrzał ją po raz pierwszy...

— „Wciąż jutro w kościele.
Sam się przekonasz...”

Lecz owo z niewymowną tęsknotą oczeki-
wane „jutro” — miało być dla Allana ciężkim
dniem próby i boleści. Bezlitosna Bianka
ujrząwszy w przedśionku kościelnym nieszczę-
śliwego garbuska, udając, że bierze go za że-
braka — dała mu jałmużnę!

Zawrzało w nim wszystko. „Jak potępie-
niec bluźnił wówczas Bogu” i szalał strasznie.
Lecz słuchaj dalej:

Jest kędyś dziwny rysunek, głęboki,
Piranesego plód mistrzowskiej ręki:
Po smukłej, giętkiej drabinie wysokiej,
Architekt pnie się i na szczybel cieni,
Zda się, ostatni, staje już — bo oto
Przed nim jest przepaść; w głębi cień i błoto;
Lecz spojrzaj wyżej! Tam na ostrym skrecie
Drabina znowu i architekt na niej
Pnie się, lunatyk, twardo i zacięcie,
Aż znowu zwiśnie nad brzegiem otchłani,
I tak bez końca widza oko ima,
W nieskończoności rozciągnięte sinej
Przepaści głębie i szczyble drabiny,
Aż zawrót schwył oko i zatrzyma.
Tak myśl Allana po cierpić drabiny
Wstępuje wyżej, wyżej, coraz wyżej,
Aż nad przepaścią stanie i w niej ginie;
Lecz osłupiał ból popędza chyży
I oświecają błyski piorunowe,
Wciąż nowe szczyble i przepaści nowe!
A mocniej, niżli wszystkie inne głosy]

Brzmi Allanowi dotychczas nieznaną
Rozkosz, co poi pogańskie niebiosy,
Myśl zemsty — córa najmiłsza szatana,
Zemsty żądanej — i znów odpychanej!
Bo w duszy jego cud dziwny się isci:
Miłość podaje ręce Nienawiści,
I władzę nad nim biorą na przemiany
A czasem tak się złączą bratnie szaleń,
Że dwie te — *jedną* zdają się być ciałem.

...
Czas minął — bożki Czas — ta Lety rzeka,
Co wolno w otchłani wieczności przecieka.

...
Foscolich pałac cały tonie w mroku,
Kształt mu olbrzymi nocna daje pora,
Narożne tylko wysokie okienko,
Patrzące w ciemne głębiny jeziora,
Przepuszcza smugę światła drżącą, cienką,
I przystęp daje ciekawemu oku.

W narożnej tej komnatce czuwają dwie ko-
biety. Jedna — to owa piastunka Bianki; druga

...
zsunęta na marmur podłogi,
W ciemność tonąca żrenicą rozdarta,
Z głową na tamtej kolanach opartą —

to Bianka; Bianka „z królewskim czo-
łem,” lecz „spojrzeniem gołąbki,” Bianka, któ-
rej pozostały wprawdzie... dawniejsze wdzię-
ki, lecz w której i śladu już nie masz dawnej
dumy czy pychy, bo oto ją „łamię i zwycię-
ża...” „moc jakaś tajemna...”

I teraz wzniosła niespokojnie głowę
I pochyliła natężone ucho
W przestrzeń za oknem, w ciszę, w ciemność głuchą,
Palec na ustach kładąc w znak milczenia...

Nie!... tylko szemrzą fale lazuruwe,
A na nie śniegiem leżą wpośród cienią
Z drzew obciążonych kwiaty migdałowe,
I motyl stuka w okno do płomienia.
Więc wzrok dziewicy zapalony — gaśnie,
Twarz się ciemnością zawodu powleka
I lez nie może wstrzymać jej powieka.

— „To nie on, szepce, wczoraj miesiąc właśnie,
„Jak tu przyplywa i jak ztąd ucieka;
„Pieśńbym słyszała — poznam go po pieśni,
„Jak twarz odgadnę, choć nie widziałam,
„Bo oko jego pewnie, jak pieśń pała.
„To nie on!”

I dłoń spuściła boleśniej,
Jakby nadziei swojej grób grzebała.
— „Dziecko!” — zawoła niańki głos złamany —
„Na pierś Madonny! To urok być musi.
„Serduszek twoje oblega i kusi.
„Rodu ludzkiego nieprzyjaciół znany.”
Tu wystawiła palce dwa przed siebie.

— „Znam wszystkie miejskie rycerze i pany,
„Lecz sam Lucyfer przychodzi do ciebie!
„Bo żadna nigdy nie brzękła gitara,
„Chociażby nawet miała złote struny,
„Jak ta, na której gra ta twoja mara;
„I nigdy pieśni równie słodkie tony
„W noc wielkanoconą nie zabrzmiały w niebie —
„O dziecko, szatan przychodzi do ciebie!”

Twarz Bianki ciemnym splonęła rumieńcem.
— „Nie bluźnij, niańko! — zawoła surowo, —
„Wszak brałam ciało i krew Chrystusową,
„Nie jednym ołtarz obdarzyłam wieńcem,
„Złożyłam grzech mój w spowiednika ucho,
„I wyszłam biała z ręki spowiednika —
„A spiewak okna mego nie unika!
„Codzień łódź jego do muru dotyka.
„Przyplywa, skoro w domu całym głucho
„I wrota rajy przedemną odmyka.
„Czy żąda czego? — nigdy się nie zbliża.
„By go odpędzić — zbyteczny znak krzyża.
„Zaledwie wszystką krew w mem ciele wzruszy,
„Zanim zaklęta gitary urokiem
„Ocknę się, w ciemność rzucę błędnym okiem,
„Już wiosło pluśnie, jak zbudzona ryba,
„Smugą się srebrną zmarszczy wodna szyba,
„I postać jego, jak cień się rozwiała!...
„O niańko! Szatan żąda tylko duszy,

„On — nigdy nawet nie zażądał ciała,
 „A jabym duszę z ciałem mu oddała!...“
 — „Jak chcesz, Siniora“ — odpowie nieśmiało
 „Niańka — „lecz jeśli to człowiek, jak drugi,
 „I z grzesznej matki wziął, jak inni, ciało,
 „To chyba przyszedł kędyś z drogi długiej.
 „Ze stron dalekich, gdzieś z pogańskiej ziemi,
 „Gdzie ryby cudne, z głowami ludzkimi,
 „W morzu spiewają — a łoża zielona
 „Rodzi grające, jak kapela, grona,
 „I słodkie brzmienie w powietrzu rozprasza.
 „O! bo pieśń jego — pieśń wcale nie nasza,
 „Choć słowa nasze. Słyszałam górala
 „Śpiew, co jak wichru jęk słyszy się zdala;
 „W Wenecyi pięknej byłam także z młodu,
 „Znam Barkarole, co jak gołąb grucha,
 „I w San Gennaro, gnieździe mego rodu,
 „Skocznej kanzonie nadstawiałam ucha,
 „Raz nawet w Świętem mieście, co Bóg zliczy
 „Na odkupienie grzesznej duszy mojej,
 „Z pielgrzymim tłumem w świętych podwoi
 „Stałam w kościeła Piotrowego progu,
 „I tam słyszałam potężny i rzewny
 „Śpiew świętych chłopców, poświęconych Bogu,
 „Którzy swym matkom raj kupili pewny.
 „Znana mi nuta nabożna i gminna,
 „Lecz ta pieśń, pani — o, ta pieśń jest inna!
 „Wszystkie w niej nuty grają po kolei,
 „Jak barw siedmioro igra w pasku tęczy,
 „Modli się, grucha, i tęskni i jęczy;
 „Jak Mandragory kwiat lub Azalej,
 „Kiedy się dotknie ich nóż ogrodnicy,
 „Placze; jak zdrajny sok z maku nasienia
 „Duszę usypia — a krew rozplomienia,
 „Mnie, starej, nieraz żar sypie do powiek;
 „Jak chcesz, Siniora, lecz to — nie nasz człowiek!
 „Zwyczajów naszych całe nieświadomy;
 „Rycerz, dworzanin, nawet Lewantyniec,
 „Jużby się wkraśl był w pałacu dziedziniec,
 „I w rękę moją złożył dar kryjomy:
 „Lecz on!... napróżno kiedyś czatowała,
 „W tę noc nie przybył — i tyś zakazała.“
 — „Cyt!...“ szepnie Bianka, nie tchnąc, drżąc cała.
 Cisza w powietrzu przezroczeń wisiała,
 Sad zagłuchł, lampka zgasła, zgęstły cienie!...
 Lekkie eterem naraz wstrząsało drżenie,
 Jak gdyby ducha westchnienie...

Z niekłamanem wzruszeniem i gorączkową niecierpliwością — jak gdybym był sam starą ową niańką czy!.. Bianką — nasłuchiwałem, azali już rychło pozwoli poeta odezwać się tajemniczemu trubadurowi... Ale oto właśnie Ordon, z coraz to większym zapalem deklamujący prześliczny swój poemat, sięgnął po nową z kolei kartkę rękopisu i zaczął czytać dalej:

Tajemny śpiewak wziął strunę gitary
 Najcichszą. Drugą dowiązał do pary,
 Złączył je, musnął...

Lecz zaledwie przeczytał parę tych wierszy, spostrzegł, że jest to ten sam ustęp, a raczej taż sama kartka, którą niedawno podniosłem z podłogi...

— Ale, prawda! Wszakżeś to sam już czytał! — zawołał. — Przeczytam ci zatem parę tylko ustępów, no, i całe prawie zakończenie. Słuchaj więc dalej:

Tu pieśń zamilkła; a za jej włókieńko
 Bianka słuchem duszy zaczepiona
 Budzi się, chwieje, i nagle, szalona
 Dźwiga się z ziemi, bieży pod okienko
 I woła w przestrzeń ciemną z głębi łona:

— „Ktokolwiek jesteś, wzięłaś mnie dla siebie!
 „Patrz! wstyd dziewiczy odzieram i grzebię!...
 „Jeśli istota ludzka dzień ci dała,
 „Jeśli cie twarzą nie zrodziła skala,
 „Przybliż się! pragnę, wzywam, wołam ciebie!
 „I będę usta twoje całowała,
 „Wilgotniej, niżli kwiat jaśminu rosa,

„Goręcej, niżli wiatr południa liście,
 „Od ojca silniej; łagodniej, niż matka,
 „I w mem objęciu będę cię trzymała
 „Dłużej, niżeli tę ziemię niebiosów...“

— „Więc jutro,“ z cieniów rzekł głos uroczyście,
 „Sama u okna, strzeż się przywieść świadka!“

I brzękło kółko utwierdzone w murze,
 Łódź odwiązana drgnęła szybkim zwrotem
 I między drzewy po śpiącym lazurze,
 Ku miastu pchnęła się jaskółczym lotem,
 Znikła, i struny gdzieś jęły srebrzyście.
 Młodzianka jeszcze jutrznia złotowłosa
 Pierwsze swe blaski na piewce rzuciła;
 Ta twarz tak piękna, ta postać pochyła,
 I rysy znane i postać gdzieś znana...
 Odrzucił włosy... Tak — to twarz Allana.

On to

... w rozpacz godzinie
 Zbratał się, nędzny, z czarodziejską mocą,
 Ratunku poszedł szukać na pustynię,
 I tam, burzliwą oblakany nocą,
 Znalazł, gdzie ustron samotna i dzika,
 Straszego władcę — starca czarownika.
 On to dał pieśniom jego siłę czaru.
 Lecz straszne przy niej postawił zakłęcie:
 — „Kto kocha — dopnie miłości zamiaru,
 „Lecz śmiercią musi zapłacić dopięcie!...“

Tak rzekł czarodziej.

Cóż czeka Allana?

Rozkosz stracona — zaledwie doznana,
 I potępienie....

Och! takich przysług — cena zawsze jedna.

Lecz chociaż bardzo

... zapłacił je drogo,
 Pozyskał Allan marzeń swych ziszczenie.
 Dla niego Bianka. Czemuż zjęty twoga?
 Dla niego tylko wzroku jej płomienie,
 Dla niego warg jej miody i purpury,
 Miłość i Rozkosz! Czemuż tak ponury?

Och! bo w tej chwili w głębi jego ducha
 Nowe się myśli rodzą, rosną, biegną!...
 On drżący cały, schyla się i słucha...
 Miłość dla niego. O nie! — nie dla niego!
 Zdradą chwyciona — obawia się zdrady.
 Dzieńby ją odkrył — zabił księżyc błady!

Na chwilę błysła mu w duszy myśl mężka;
 — „Odkryć się, zdobyć ją sobie w dzień biały!“
 Lecz wnet przed okiem staje marzeń kłęska
 I dzielny zamiar ślania się omdlały.
 Ostatni poszept miłości wspaniały
 Milknie. Namiętność wstępuje na wały!
 — „Precz z wahaniem! Chwila jeszcze, chwilką!
 „Tak krótka chwilką, jak życie motylka:
 „Już słońce schyla promienistą głowę,
 „Bledną i mierzchną obłoczki różowe,
 „Ach, mgnienie tylko, ach! a po tem mgnieniu
 „Wieczność rozkoszy w jednym uściśnieniu!
 „Za cenę życia rozkosz ta kupiona,
 „I wartość swoją musi mi zapłacić!
 „Tyle zyskawszy — możnaż naraz stracić?!
 „Dwa razy żyje, kto całując, kona!
 „Kłęb się ciemności — usta ust nie miną,
 „Gdy się szukają — łono znajdzie łono!
 „Na czyjeż usta strugi ławy spłyną?
 „Dla kogóż błyski oczu jej zapłoną?
 „Kto tonąć będzie w wonnym jej warkoczu?
 „Na moje usta, ach! dla moich oczu.
 „To moje usta i oczy utoną!“

Tak mówił Allan, a twarz mu poblądła,
 Wzrok się rozkoszy mgłą wilgotną zmroczył.

Tej nocy były róży zaślubiny
 Z białym narcyzem. Powietrze aż drżało
 Radosną wrzawą kwiecistej drużyny.
 Drużnami były lilie strojne białe,
 Drużnami czarne dwa dziw-tulipany;
 Za niemi orszak sunął nieprzebrany...

Na darń usiadło biesiadników grono
 Białym obrusem ze mgły zaścieloną.

Najbliżej młodych malwy się skupiły,
 Po nad innemi górujące skronią;
 Bezwonne — fiołków pożyczoną wonią,
 Pomiędzy bratniem gronem się pyszniły.
 Przy nich mimozę, co się ręki chronią;
 A nieśmiertelnik wiekami pochyły
 I dwa lotusu kwiaty śniące w parce,
 Poczesne miejsce wzięły, jako starce.

Nad niemi lśniły się niebieskie gmachy
 Ciemne, głębokie, lazurowe cale;
 Jak świecznik blaski sięjąc okazałe,
 W każdym się krzaczku palił żuczek blahy.
 Podczaszym uczył był motylek biały,
 Dzwonki wesoło, jak orkiestra grały
 Pod dźwięk ten, pod tą światłością łagodną,
 Wydając z siebie szmer, jakby pszczoł roju,
 Ci biesiadnicy pili rosę chłodną
 Z pełnych kielichów polnego powoju;
 Jaśniała radość, huczały wiwaty,
 Przyjaźnie z sobą szezebiotały liście,
 Aloes, dumnie otwierając kwiaty,
 Jak działo tryumfu strzelał uroczyście,
 A wokół z trawy patrzył ludek prosty:
 Stokroć, ostróżki, nagietki i osty.

Już czas ślać łoża ślubne. Lilie druchny
 Kładą posłanie z białej mgły leciuchnej;
 Przez tłumy gości z namiętym pospiechem
 Wstydliwą różę wiedzie nowożeńiec,
 Siostry wskazują sobie jej rumieniec,
 Huczny ich gonią biesiadnicy śmiechem;
 Lecz już zniknęli i za niemi wrzawa
 Raz buchnie jeszcze i nagle ustawa.
 Niebo i ziemia zcichły — bez tchu stały,
 Księżyc, co błysnął, ukrył w chmurach lice;
 Jak gdyby sobą zamącić się bały
 Wielką miłości twórczej tajemnicę!

Naraz krzyk jakiś powietrze zamącił,
 Mdleje, zanosi się, szaleje, płonie!
 Takiego więcej nie słyszeć nikomu!
 O domy trąca, echem w miasto goni.
 Czy róża pierwszy jęk rozkoszy roni?
 Czy narcyz może?... To z Foscolich domu...
 A po tym jęku — głębsza jeszcze... cisza,
 I w głąb jeziora ktoś spadł ciężko... glucho
 Z drabinki drżące, jak skrzydło anioła.
 Nurt się rozlała, trysły krople hojne
 I łono wody stoi znów spokojne,
 Tylko się gonią coraz szersze kola.
 Tu krzyk — krzyk nowy wpada strzałą w ucho.
 Rozpacz, w nim boleść, twoga bije fala!
 Na odgłos jego ganki pałacowe
 Stem się pochodni ozywają, palą.
 Po wodzie suną błyski purpurowe,
 Mur, brzeg i ogród rumieńcem zapłonął,
 Rwie się zbudzone ptactwo wczesną zorzą —
 Stanęli. Sieci pluszczą, nurty orzą.

— „Twarz mi, twarz jego, o na mękę Bożą,
 „Twarz mi pokażcie!“ — głos z okienka blaga,
 „Nigdy nie ujrze! Nie, to być nie może!...
 „Nigdy nie poznać!... Sprawiedliwy Boże!
 „Za jakąż winę twoja dłoń mnie smaga?
 „Ty dać nie mogłeś takiego rozkazu!
 „Ach! onby głos mój usłuchał odrazu.
 „Więc wołać będę... Lecz jakże zawołam?!
 „W snach moich jego nie znajdę obrazu,
 „Między duchami poznać go nie zdołam!...
 „Światel tu! więcej!... Ostrożnie z hakami.
 „Sznujcie ludzkie męża mego ciało!
 „Srogi rachunek będę miała z wami
 „O krwi kropelkę!... Predzej!... Co się stało?...
 „Czemu czekacie?... Nieście go łagodnie!...
 „Nieprawdaż? piękny!... Jakżeście szczęśliwi!
 „Wyście twarz jego pierwsi zobaczyli!...
 „Otworzyć bramę!... Przysunąć pochodnie!
 „Obudźcie ojca! Starzec się zadziwi!...
 „Będziemy troje... razem... wiecznie... żyli!
 „Nie już nie widzę! wiatr na światła wionął,
 „Czemu wracają? Co za gwar zmieszany?...
 „Czekajcie!... Gdzie jest drogi mój! nieznany?!...“
 Z dołu odpowiedź glucho brzmi:

— „Utonął!...“

— A cóż się stało z Bianką?! — zawołałem, zrywając się nagle i z takim snać akcentem szczerzego zainteresowania się jej losem, że aż ubawiony tem Ordon roześmiał się serdecznie. Po chwili jednak zapytał poważniej:

— No, jakże ci się zdaje?

— Skończyła zapewne samobójstwem lub obłąkaniem.

— Zgadłeś. Zrozpaczona moja Bianka *musiała* stracić zmysły. I na tem to właśnie kończę swój poemat.

Nie przeczuwaliśmy wówczas, że i na tem też skończy nieszczęśliwy jego twórca!...

Alexander Bolesław Brzostowski.

(Dokończenie nastąpi).



POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



XII.

Na czem polega harmonia władz ludzkich? — Dobro ostatecznym celem ludzkości i człowieka.

Zgodziliśmy się na to, że dobro ostatecznym celem ludzkości i człowieka. Człowiek jest jednością złożoną z dwóch pierwiastków: z duszy i z ciała. Gdzie jest ciało i dusza, tam też musi być i życie; dusza, ciało i życie stanowią dopiero *jedność, całość*. Można każdą z tych składowych części podnieść do godności celu, można jedną nad dwie drugie wywyższyć, ale żadnej wyzbyć się niepodobna, pod utratą człowieczeństwa. Gdzie duszy niema w ciele, tam jest trup, nie człowiek; gdzie jej za mało, tam zwierzę, a gdzie ciało przeważa, tam choroba, niedołęztwo fizyczne, istota bez nazwy.

Są ludzie dbający tylko o ciało, albo tylko o duszę, albo o życie; inni znów, którzy wyłącznie życiem dla życia są zajęci. Ci wszyscy grzeszą przeciwko harmonii, czy bądź to dla dogodzenia namiętnościom, zmysłom tylko hołdują, władze duszy przytępiając, lub też ciało szarpia i nie dopinając celu, zabija ją ciało, duszę i życie.

Nadto uduchowieni, chcą ciało pognać, zdeptać, jak np. fakhirzy i asceci średniowieczni, i zamiast władze duszy rozwijać, doprowadzają się niemal do obłądzenia, tamują w sobie życie, ześrodkowując się duchowo w największem skupieniu. Dusza ich zadziwiających niekiedy, ale bezcelowych i bezużytecznych nabywała przymiotów, rosła wysoko a nie wszędy, tracąc grunt pod nogami i wszelką podstawę, kończyła na przebujałości, na monomanii; pogłębiając ciało, ludzie ci często zabijali duszę, zamiast ją wywyższyć.

Tak zwani *umiarkowani*, panując nad popędami ciała i duszy, biorą sobie często pewną formułkę za cel życia, nie tylko nie rozwijają w sobie, ale przeciwnie tracą bujność przyrodniczych władz. Miarkując popędy ciała, chcąc ich szkodliwości uniknąć, władzami duszy posługują się tak, by życiu za-

bezpieczyć wygodne i bezpieczne trwanie; tacy roztropni, życie dla życia stawiając za cel jedyny, zabijają właśnie duszę, tracą w sobie to, co jest w nich źródłem i rękojmią najdłuższego, bo nieskończonego trwania; najtrwalszego, bo nieśmiertelnego życia. Ci nie rozwijają ani ciała, ani duszy, ani życia, — lecz tracą pierwiastek nieśmiertelności.

Trzeba dobrze rozróżnić umiarkowanie od harmonii. *Umiarkowanie* ma za pierwiastek *mierność*, która bywa poniżeniem natury ludzkiej; życie dla życia, jest miernotą. Harmonia władz przeciwnie z miernoty wyrwa. W człowieku wtedy staje się doskonałą, gdy ciało się rozwinię, jak u Greków, dusza wzmocni się, jak u pustelników Tebaidy, a życie... dla życia nie mamy w przeszłości porównania, trzeba w przyszłość spojrzeć, życie, gdy będzie pięknem, jak ideał!

Rozumie się, że nie każda z władz z osobna ma się rozwijać, ale owszem razem wszystkie, jedna dla drugiej, i jedna przez drugą, żeby ciało było zdrowe, piękne i najdelikatniejszych wrażeń dostarczało duszy, i aby z duszy nawzajem wrażenie ciągnąć mogło. Przykładem tego byli Grecy, którzy mieli tak wydelikaczone i ukształcone zmysły, jak żaden naród w starożytności.

Niechże się i teraz ciało kształci, jak organizm grecki.

Ciało ukształcone ułatwia pracę duszy i podnieca ją zarazem potrzebami wdzięku, pięknych wrażeń, skłonnościami szlachetniejszymi. Ciało ukształcone, od duszy nawzajem wymaga, aby mu dostarczała poezji, muzyki, śpiewu, malarstwa, słowem: sztuk pięknych; staje się ono podniętą umysłowi; kochając wszystko, co szlachetne i piękne, lepiej ocenia się wartość umysłową; umysłem ukształconym lepiej ukochać można, aniżeli instynktem. Dusza tak się powinna rozwijać i wzmocnić, by sobie przyswoiła wszystko, co przez ciało nabyć może; powinna sobie wszystko przyswoić na tworzenie, na ukochanie, jako materiał do ożywienia, do rozjaśnienia. Strzegąc się poddańczej zależności, niczemu nie powinna dać nad sobą zapanować, żeby się nie dała skusić do złego ani sztuką piękną, ani wdziękiem, ani wygodą... żeby się nie dała zepchnąć z drogi udoskonalenia, z Jakóbowej drabiny ideałów. Wszystkie względy zmysłowe dusza opanować powinna, za sobą ciągnąć i prowadzić! Taka dusza, w takim ciele, składają się dopiero na piękne życie, na ową historję, którą w Księdze Bożej sprawiedliwości każdy człowiek sam o sobie kreśli.

Bez życia, bez działania, bez tworzenia, ciało jest tylko zgnilizną, dusza abstrakcją; człowiek nie obrazem, ale raczej obrazą Boga się staje. W życiu dopiero wszystko się kojarzy, wzajemną wartość okazuje i nawzajem z życia, człowiek nowe zasilenie czerpie. Jak nieuniknionym jest zły wpływ buntującej się, pokrzywdzonej części, tak drugostronnie nieomylnym jest wpływ dodatni harmonizującej się sprawiedliwości. Cała praca ludzka na tem zależy, by do tej harmonii doprowadzić, bo ona we wszystkim panować powinna. W każdej części z osobna w ciele i duszy, już jest wiele do szarmonizowania; praca to ciężka i długa, koniec jej daleki, jednak widzimy, że

ludzkość ku tej harmonii idzie. Pogaństwo kształciło ciało i póki kształcenie to trwało, póki był postęp, póty ciało i duszę na tę drogę postępu ciągnęło. U Greków widzimy obok rozwoju ciała rozwój sztuk, rozwój przedwiecznej prawdy, wyrażony przez Sokratesa, lecz gdy ciało przemogło, zaraz dusza przygnębiona została, a ujmując się za sobą w osobach ascetów, w przeciwną wpadła ostateczność, która była zrazu zbawczą koniecznością tylko.

Pogaństwo wykształciło ciało, lecz tak, że ono ciągnęło duszę za sobą, jak np. u Greków, którzy najlepiej rozumieli piękne kształty. Ale i dusza im rosła w odpowiedniej mierze. W Grecji powstała prawda o nieśmiertelności duszy. Gdy jednak ciało wzięło przewagę, nastały zbytki, zniewieściałość i rozpusta. Dusza pokrzywdzona musiała ująć się za sobą i dlatego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa pracowano nad jej podniesieniem, za pomocą zgębienia ciała. O ile w pogaństwie ciało nad duszą ciążyło, o tyle musiały pierwsze prawa chrześcijaństwa nad ciałem zaciążyć. Pustelnicy zwłaszcza chcieli zdeptać ciało. Wystawmy sobie, jak posty i umartwienia działały na dzikie, rosłe, muskularne hordy barbarzyńców; ile to pracy trzeba było, żeby udelikatnić, wyrobić ciało, przez któreby się umysł mógł przebić, u tych Teutonów — atletów, którym tak trudno było nauczyć się czytać! Przebrała się jednak miara; duch, co prawda, zgębił ciało, lecz kosztem zdrowia organizmów, które się rozwinęły i rozpowszechniły wątłe, nerwowe, chorobliwe, hallucynacyjne. Świętość np. z najwyższego dobra, przekształciła się w poszukiwanie cudotwórczej władzy. A przecież Św. Paweł powiedział: „Chociażbym cuda robił, a miłością bym nie miał, niczem nie jestem.“ Świętość przywiązana do cudów, pochodzi z prawdy, którą się rozumem zdobywa i która szuka tego najszlachetniejszego pierwiastku człowieczeństwa w objawieniu, w intuicji; zamiast uczynków pochodzących z miłości, spotykamy się, w wiekach średnich zwłaszcza, z dziwacznościami praktykami, chorobliwymi marzeniami i hallucynacjami, ztąd trapienie ciała i gubienie się w formułkach i drobiazgach nie prowadzących do celu, pomimo najlepszych nieraz intencji, będących także wynikiem *poszukiwania prawdy*, ale też skutkiem wybujałości, w pewnym kierunku. Następuje protest, reakcja umiarkowanych żywiołów. Walka rozsądnych i roztropnych, z egzaltowanymi. Znowu ostateczność, poszukiwanie dobrobytu, zabezpieczenie majątku, ukochanie życia dla życia; ogarnia świat materializm, dopóki nie wyłoniła się gwałtowna chęć i potrzeba zaprowadzenia harmonii między władzami, gorąca żądza *prawdy*. Z czasem bowiem poznano, że jeżeli ciało pięknieje od duszy szlachetnej, to i dusza śmieiej idzie w życie, mając oparcie i pomoc w zdrowem, pięknie ukształconem ciele. Ale duchowa strona taką rolę pierwszorzędną odgrywa w człowieku, że zupełnie brzydkie fizycznie istoty w szczęściu pięknością promieniają. Każdy czyn spełniony w harmonii duszy i ciała, podnosi człowieka, bogaci, rozwija jego władze i jest niejako wprawą możliwości, potęgą! Nietylko nie wyczerpuje, ale

owszem, siły mnoży, taka *harmonijna* praca. Przeciwnie, niema harmonii, ile razy ciało jest rozwinięte kosztem duszy; każda praca naówczas staje się śmiertelnym wyczerpnięciem, a dusza doprowadzona do zatracenia, do moralnej bezsilności. Trzeba więc koniecznie w życiu rządzić się zasadami higieny, nie z powodu ulegania materialnym względom, ale celem służenia w pełni sił i zdrowia dobrej sprawie; dla ułatwienia pracy pożytecznej, trzeba się skupić w życiu wewnętrznym, bo tu idzie przecież o duszę, o wieczność.

Wszelako rzadko bardzo spotyka się w życiu typ doskonałej harmonii. Niekiedy od urodzenia bardziej są rozwinięte władze ciała, niż władze duszy, wyraźniejsze usposobienie do zajęć fizycznych, niż do umysłowych. Różne są stopnie i odcienia zdolności, w jednym przeważa siła, w drugim zręczność i t. p. Niejeden byle ciężaru podnieść nie potrafi, a noc wśród pracy umysłowej bezsennie przepędza. Inna rzecz mieć przeważającą zdolność, a inna nadać przewagę jakiejś zdolności, z pokrzywdzeniem drugich. Celem owej przeważającej zdolności, by dążyła do harmonii, rozbudzając inne, uspięne władze. Wyrobnik atletycznej siły, szwaczka o najrzeczniejszych palcach, zdobywają o ile im podobna, takie warunki bytu, które ich moralną stronę podnoszą i byt zabezpieczają. Jeśli tego nie czynią, grzeszą, życie i duszę psują. Użyciem władz serca, rozgarnięciem, zarobkową pracą dążą do tego, aby w możliwości swojej, stali się *najmoralniejszymi*, inaczej stają w przeciwieństwie z harmonią; wtedy jedna władza gnębi inne. Drugostronnie, najgenialniejszy umysł starać się musi o podniesienie sił, jeśli ciało jego wątłe, o zapewnieniu mu wygod, żeby mu nie przeszkadzało, żeby organizm ułożył się tak odpowiednio do zdolności, jak pięknie uszyta rękawiczka do ręki się układa. Każda więc przeważająca zdolność, musi odpowiedzieć warunkom harmonii; co innego dojść do ideału ostatecznego, a co innego w życiu dążyć ku temu. Taka osobista harmonia w człowieku, wprowadza go w mnóstwo stosunków, po za jego osobą będących, trzeba, by ciało czem utrzymać, aby duszę mógł doskonalić, a duszą i ciałem rozwinać życie; — by temu wystarczyć, koniecznie trzeba odpowiednich warunków w naturze fizycznej, w otaczających ludziach, w położeniu, we wszystkim trzeba zdobywać *możność*.

Jak się w sobie samym stosunki te rozgatkują i wyjaśni, to później rozważa się je w odniesieniu do Boga, do ludzi, do świata w ogólności, treść ich stanowi prawo człowieka, będące w gruncie prawem Bożem w moc tego prawa, człowiek powinien mieć, co mu się należy i dać, co od niego się należy. Ma więc należytość i obowiązki; każdy obowiązek da się rozgatkować względem ciała i względem duszy. Stosunek jest trojaki: do rzeczy, do ludzi i do Boga.

W stosunku do rzeczy, należy się każdemu człowiekowi dla ciała pokarm, odzież, mieszkanie; ze względu na duszę *własność*. Jest różnica między rzeczą służącą do odzieży, mieszkaniem a pomiędzy własnością. W wielu krajach różnica ta jest bardzo do-

bitna, jak w ogóle między zaspokojeniem potrzeb a własnością. U nas dotychczas przyznana była ludziom konieczność odzieży, pokarmu, mieszkania, ale nie własności; a przecież ona, choćby najmniejsza, miła jest, bo odpowiada duchowej potrzebie, moralnej stronie człowieka, jest należytością jego duszy. Własność, rzecz umysłowa, jest prawem umysłem, prawem duszy; kto używa, musi mieć własność, by używał dowolnie. To się człowiekowi należy i względem tego ma obowiązki nawzajem, żeby tego, co ma, użył dobrze. Złe użycie bywa zawsze grzechem przeciwko własności i może wywołać karę. Własność jest warunkiem społeczeństw. Każdy powinien mieć ten cel, by prędzej lub później zdobył jakąś *własność*. Bywają różne rodzaje własności, niemniej oznacza ona pewną sumę rzeczy lub narzędzi, dających sposobność zdobycia pokarmu, zdrowej odzieży, zdrowego pomieszkania. Nie wolno bogaczom samolubnie rozpościerać się na dostatkach, owszem obowiązkiem jest świętym rozwinać je, udoskonalić, podnieść własność swoją. Wielu ludzi jest jeszcze bez własności, ztąd pauperyzm, który jest grzechem i nie-szczęściem, odziedziczonym z przeszłości. Niektórym się zdaje, że to jest złe bez wyjścia, że temu nie można zapobiedz. Ludzie nauki, badacze, zgadzają się sumiennie na to, że istotnie na tę chwilę, od razu, pauperyzm znieść się nie da, lecz nie mamy prawa nazywać tego złem koniecznym i nie do zwalczania.

Ludzkość otrząsnęła się ze straszniejszych rzeczy, mianowicie z kast, z niewoli, niegdys także uważanych za konieczne. Nawet, jak mówiliśmy, Arystoteles, dowodząc, że człowiek składa się z ciała i z duszy, wyprowadzał wnioski, że niewolnik panu swojemu powinien być podległy, gdyż on ma rozwinięte mięśnie, a pan duszę, ciało zaś duszy podlega i t. p.

A przecież Ezop chociaż niewolnik, zasłynął, jako geniusz; ludzie z kast i niewoli, otrząsnęli się przynajmniej do pewnego stopnia. Dziś, kiedy wszystko się zdobywa, kiedy z dniem każdym przybywa przestrzeni ziemi, kruszców, czyżby wzrastająca w potęgę ludzkość, nie potrafiła znieść pauperyzmu? Jest to cel do osiągnięcia, cel możliwy w przyszłości, bo nędza powinna być zniszczona!

W stosunku do ludzi, różnica należytości, ma odpowiednią różnicę obowiązków. Zastanowiwszy się nad stosunkami ludzi pomiędzy sobą, widzimy, że przedewszystkiem należy im się wzajemna pomoc. Bóg daje człowiekowi rodzinę, ten pierwszy zawiązek towarzyskości, właśnie ku pomocy; towarzyskość zaś, jest pierwszym zawiązkiem narodów i państw.

Drugą rzeczą obowiązującą w stosunku z ludźmi jest sprawiedliwość; wychodząc z zasady tożsamości natury, w ludziach tak co do ciała, jak co do duszy należy się każdemu po sprawiedliwości zabezpieczyć środki na utrzymanie ciała i ku udoskonaleniu duszy, — i wzajemnie, człowiek ma się dopominać poszanowania swej godności ludzkiej, wychowania, nauki, światła. Pomoc ta była w dawnych czasach zabezpieczeniem osobi-

stości, sprawiedliwości, równości; następuje trzecia należytość, bezpieczeństwo dla osoby, własności i zdolności, a wszystko ma się odnosić do człowieka, zapewniając bezpieczeństwo ciała, mienia i pracy. Dawniej szło oto, by jeden drugiego nie napadał, nie grabił, — by nikt nie ważył się drugiemu światła zasłaniać, fałsz za prawdę podawać, — by człowiek znalazł zabezpieczenie przeciw fałszom i ciemnocie, by znalazł opiekę dla swej twórczości, dla życia, dla czynów. Człowiek życie zaczyna słabem dzieciństwem, a kończy bezwładną zwykle starością; dzieciństwo niedołężne i starość bezsilna, potrzebują pomocy. Rodzina zapewnia opiekę według ciała; według duszy zaś ukochanie, sympatię, miłość. Jest więc zawarowane prawo istnienia przez rodzinę, rodziny przez społeczność i społeczeństwa przez państwo. Towarzystwo składa się w naród, naród nadaje formę państwu, państwo ma się opiekować narodowością, narodowość społecznością, społeczność rodziną, rodzina człowiekiem; *dlatego, że się urodził*, musi pomoc znaleźć. Należy mu się również sprawiedliwość, będąca *uznaniem i urzeczywistnieniem prawa równości*.

Mówiliśmy, że ludzie mają jedną, wspólną naturę, tylko różne są jej stopnie i objawy, ale treść gatunkowa nie tylko *taka sama*, lecz *ta sama*, w ciele i w duszy. Czego więc jednemu potrzeba, tego trzeba każdemu niezawodnie, skoro wszyscy mamy te same mięśnie, nerwy, tę samą nieśmiertelność i konieczność zbawienia. Tylko w bliskości można się stopnia tej różnicy dopatrzeć. Jeden wie, że dwa a dwa to cztery, a nie wie, że dwieście i dwieście, to czterysta i t. p., ale powtarzamy, że każdemu, *jako człowiekowi*, należą się po sprawiedliwości środki do utrzymania ciała, do udoskonalenia duszy i wzajemne godności ludzkiej poszanowanie. Wychowania, nauki, przyzwoitego obejścia się z sobą, ma się również prawo dopominać każdy, bo to są należytości wszystkich bez wyjątku. Również jest należytością człowieka, bezpieczeństwo ciała i życia, uszanowanie moralnej godności, bezpieczeństwo mienia i pracy, żeby własności mógł używać bez przeszkody; bezpieczeństwo umysłu, by nikt nie mógł go z drogi prawdy sprowadzać; bezpieczeństwo dla twórczości, dla życia, objawiającego się czynem.

To wszystko będzie także człowieka względem bliźnich obowiązkiem: wspierać, oświecać z miłością, dbać o oświatę, o cudzą godność; sprawiedliwość w osobistych stosunkach, żeby oddać, co się każdemu należy. Kiedy potrzebuje sam środków do pracy, pomocy w nauce, powinien się więc przykładać, by i drudzy mieli naukę, a kto chce, by jego godność szanowano, musi przedewszystkiem szanować godność cudzą. Należy się więc człowiekowi bezpieczeństwo pod wszelkimi względami, przez przyłożenie się, by dla wszystkich były równe środki. Wzajemną obronę uważa się w ujęciu się za każdym potrzebującym, uciśnionym. Krzywdą drugich, powinna nas boleć, jak własną; drugich nie powinniśmy pozwolić skrzywdzić, zarówno jak siebie samych. I tutaj znowu harmonia potrzebna, aby opieka nie przedłużała się kosztem sprawiedliwości i bezpie-

czeństwa, aby miara wybrana harmonizowała z oddaną. Co do przedłużającej się opieki w stosunkach rodzinnych, często zachodzi trudność w uchwyceniu chwili, kiedy dziecko na człowieka wyrasta, ta sama trudność spotyka się i u narodów, pragnących wyzwolenia z opieki z chwilą, gdy się poczuwają na siłach do rozwinięcia samodzielnego bytu i prowadzenia życia na własną odpowiedzialność.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wanda Grot-Bęczkowska.

JAK SEN...

NOWELLA.



(Ciąg dalszy).

Nie odpowiadając, odchodzi w przeciwną stronę, podrażniona uszczypliwym tonem Witolda.

— Nie przebiore się i zostawcie mnie, jeśli laska, w spokoju — powiedziała następującej na nią pani Maryni. — Nie mnie wasi goście nie obchodzą.

— Kompromitujesz Bolka — upiera się pani Marynia. — Każdy wie, że jesteś jego siostrą cioteczna i gotów jeszcze kto pomyśleć, że nie masz się w co przywoicie przyodziać.

Kara patrzy ironicznie na głęboko wycięty stanik pani Maryni.

— Gdybym była na miejscu Bolka, to twój stanik przede wszystkim uważałabym za nieprzyzwoity — rzekła, śmiejąc się z nadąsanej miny pani Maryni.

Witold stanął przed nią.

— Pani pozwoli? Śliczny wałek?

— Co? Pan tańczy? Cóż się stało?

— Mam nieklamana ochotę, dopóki oczywiście nie odbierze mi jej pani pytaniami i zwłoką. Służę!

Podaje jej ramię, ale w prośbie czuć rozkaz i pewność, że Kara nie odmówi mu niczego.

A ją to rozniewało.

— Nie będę tańczyła — rzekła, oczy spuszczaając, bo wie, że gdy spojrzy w jego, ulegnie niewątpliwie.

— Nie?

Sklonił się i odszedł.

Jakaś siła popycha ich ku sobie i rozdziela. Szukają się wzajem, przyciągają, by potem odepchnąć. Miota niemi nerwowy niepokój, lęk przed czemś, co się ma stać, co stać się musi.

Odszedł, ją ogarnęła pustka. Czuje, jak nerw każdy drga w jej ciele, bo odepchnęła rozkosz przytulenia się do jego piersi choć na chwilę. Czemu?... czemu?

Zagryza sobie podłade wargi.

To pragnienie, teraz już nieziszczane, wprawia ją w stan niebywałego rozdrażnienia.

Zmęczona tańcem Emilka usiadła przy niej.

— Bolek jest w strachu o ciebie i skarżył się panu Witoldowi, żeś pewno na tej wycieczce do lasu przeziębła — szczebioce, wachlując się. — A pan Witold mu na to: „Nie trze-

ba pozwalać, aby siedziała teraz bez ruchu...“ I prawda. Ale ty masz taką minę, iż nie dziwnego, że cię nikt do tańca nie prosi.

Kara słucha w upojeniu.

Więc o niej myśli? Dla niej przeżył nawet wstępną swą do „kręcenia się w kółko“, jak zazwyczaj o tańcu się wyraża.

Spogląda ku niemu.

Uwija się około panien, w zwykły swój sposób rozflirtowany.

— To poza... — powiada sobie Kara, bo swymi nerwami odczuwa jego zdenerwowanie i pewną jest, że to wesołe otoczenie, złe oddziaływa na nich oboje. Oni są jacyś inni... Przegryza im dusze tęsknota i oni zawsze pozostaną niezaspokojeni w wymaganiach swoich i wszędzie będzie im ciasno, ciasno...

— O ile nie będą razem... — uzupełnia w myśli Kara, zupełnie pobłażliwa co do zobowiązań Witolda względem jakiejś tam dziewczyny, którą on narzeczoną swą nazywa.

Co znaczy zobowiązanie, jeśli ma unieszcześliwić dwoje ludzi?

Widziała jej fotografię.

— To zapewne aktorka? — uczyniła bezwiednie uwagę, tak jej się dziwnym wydał strój i zalotna minka ładnej dziewczyny.

A Witold ze śmiechem:

— Tek... — powiada; — na scenie życia. Pani jest blizką prawdy...

I potem nie mówili już o niej.

Karze się wydaje, że on jest jej bliższym, niżeli tamtej. Przez pokrewieństwo dusz... Tamta oddziaływać mogła na jego zmysły, lecz to mija szybko... Gdy się zaś dusze w jedno ogniwo spleją...

— Czy pan tu grał podczas mojej nieobecności? — pyta, zatrzymując się nagle przed Witoldem.

— Grałem.

— A co pan grał?

— Ulubionego pani, przeboskiego „Tanhäusera“ — odpowiada, wpadając w jej styl.

— Jaki pan niedobry!

— Zapewne! Nie brodziłem w śniegu po kolana, dźwigając gałęzie na opał dla Jakóbowej.

Zaczerwieniła się.

— Zkąd pan wie?

— Ja wszystko wiem... — śmiał się, bawiąc jej zakłopotaniem.

— I ja dużo rzeczy wiem... — chwali się Kara. — Jakóbową powiedziała mi, że pan...

— Daruje pani, ale widzę po figlarnych oczkach panny Emilii, że ma ochotę powiedzieć coś dowcipnego.

I odszedł.

— Dziwak! — myśli podrażniona dziewczyna. — Będę go unikać i niechaj się nasyci dowcipami tej głupiej Emilki.

Nastąpiła przerwa w tańcach i gdy Kara szła teraz przez salon, prawie wszystkie oczy zwróciły się na nią.

Wyglądała istotnie wyróżniająco, smukła i wiotka w sukni czarnej „princesse“, wobec innych kobiet ubranych różowo, zielono, niebiesko. Włosy swobodnie opuszczyły się na czoło i warkocz ciężki, gruby, urągał misternym fryzynom dam...

— Secesja...

— Dekadentka...

— Melancholiczka...

— Waryatka!... — zamknęła listę porównań Emilka, i chcąc potwierdzenie uzyskać, zwraca się do Witolda.

Aa! Więc to tak! To takimi oczyma patrzy się na tę nieznosną dziewczynę? I czemu ona ten zachwyt budzi? Bo nawet Henryk, którego Emilka uważała dotąd za zdecydowanego swojego wielbiciela, i ten zagapił się na Karę, jak gdyby zobaczył jakie cudowne zjawisko.

Kara zajęta, jakie budzi, nie dostrzega.

Niewątpliwie, jak w wielu razach, rzuciła by niedbale swoje; „Wszystko mi jedno...“

W poczuciu dumnego indywidualizmu, jaki się w niej dobitnie objawia, nie odpiera nigdy żadnych przeciwko sobie zarzutów.

Co ją to może obchodzić?

Z rozwojem umysłu rozwija się w niej ból jakiś bez słów, tęsknota za czemś dobrem, za czemś lepszym, niżli to, co spotyka w życiu.

W rozprężeniu ogólnem usiłuje odnaleźć kierunek jakiś duchowy, podstawę — jeśli już nie szczęścia, to przynajmniej spokoju.

Przejmuje ją wstępną do szarości takiego życia, jakie wiodą: Emilka, pani Marynia i inne im podobne.

— Jakie one płytkie!... — zwierza się niekiedy Witoldowi. — Można im zazdrościć, że tak mało wymagają.

Witold ciekawym spojrzeniem ogarnia wtedy smutną twarz Kary.

— A pani coby chciała dla siebie? — pyta. — Cóżby pani chciała? Pani pewno pragnieniami obejmuje horyzonty niezmierzone, prawda? Już ja wiem... Pani jest przesubtelizowana...

Oczy Kary biegły w przestrzeń bardzo smutną.

— Bo wszystko u nas takie chorobliwe — mówi, namysławiając się. — Gorączkowo się żyje, w jakimś zawrotnym tempie, prawie bez kierunku... To się nie da ująć w wyraz, ale jakoś z tem niedobrze...

— Trzeba wyjść za mąż... — żartuje Witold.

— Co? Skakać koło pana męża i niańczyć dzieci? Bardzo panu dziękuję! Pan nie uważa, że terazniejsze „prądy“ urągają takiej cudownej sielance. Gdzie pan widzi dobrane małżeństwa, gdzie pan spotka nieprzemądrkowane dzieci, które, wobec blałego nawet niepowodzenia w życiu, nie cisną w twarz rodzicom z goryczą: „Pocoście nas stworzyli?... Głupie życie i nie prosiliśmy o nie...“

— Albo coś w rodzaju pewnej pani: „Co mnie to wszystko obchodzi... Wszystko mi jedno...“ — wtrąca Witold żartobliwie.

Oczy mu płoną ogniem i wpija się niemi w twarz dziewczyny bladą, nerwową a piękną.

A nią wówczas dreszcz wstrząsa. On jeden wywiera na nią wpływ, panuje nad nerwami i całą przeczuloną jej istotą poddaje mu się bez oporu.

On wie o tem.

Sprawia mu to rozkosz i podnieca. Drażni ją obojętnością, kaprysmami, aby mózgi napawać się widokiem wzburzonej jej twarzy, posępnym ogniem oczu i tą walką, jaką z sobą toczy.

Dziś widział ją w lesie. Żałował, że nie mógł szkicować jej postaci, gdy wśród drzew ośnieżonych przemyciała się lekko i zreżnie

z narzuconą na plecy wiązką gałęzi, z twarzą jasną i różową.

Nie podszedł ku niej.

Nie chciał, by w oczach jego wyczytała zachwyt i lękał się sam siebie. Sympatya, jaką dla siebie czują, nie ma przyszłości. On z tamtą ożenić się musi. Zgrzyta zębami na te pęta, ale je wlecze. Wyobraża sobie, że mu to nakazuje przywiązanie do matki i do Leśmina, który ratować trzeba.

Teraz jednak zdaje się zapominać o wszystkim i ściga wzrokiem dziewczynę i drga mu na ustach wykrzyk namiętny.

Ach, porwać ją w objęcia, w tych oczach posepnych rozpalic płomień, czuć na swem sercu trzepocące się w trwodze jej serce i szeptać bez końca:

— Ty moja...

— Ty kochana...

— Ty wymarzona i pożądana...

— Ty wszystko moje...

Poszedł za nią.

W gabinecie pana Bolesława umieszczono wypędzoną z salonu fisharmonię. Kara przegląda nuty. Widzi, że wszedł, że jest przy niej, czuje nawet, że zbladła i papier szeleści w drżących jej rękach.

Ta Kara, taka obojętna, nieledwie impertynencka dla mężczyzn w ogóle, wobec niego staje się więcej jeszcze nerwową i nieśmiałą.

— Kochany, miły dzieciak! — myśli, usiłując zachować się względem niej chłodno i odpornie.

Ale jest wzburzony i Kara to widzi.

— Co panu? — pyta nawykła do szczerości z nim. — Ja bo się w salonie formalnie duszę. Niech pan spojrzysz w okno: jaki *meta* wieczór... Ani jednej gwiazdy na całym obszarze nieba. Wicher szaleje... Wie pan, chciałabym teraz znajdować się w lesie... w samej głębi lasu...

— *Tek!*... — mruknął. — Ale chyba nie sama.

— Jakto? A z kimżeby?

Podrażnił ją ton jego głosu.

— Niech pani spojrzysz... — wskazuje Witold otwarte drzwi do salonu. — Jest w czym wybierać. Może pan Anatol? To także nastrojowy młodzieniec. Jak też pani lubi pozować na niezwykłość.

Drażni ją, dokucza, aby zdusić w sobie pragnienie dotknięcia jej ręki, lub wypowiedzenia choćby spojrzeniem, jak mu jest miła.

Kara, milcząc, rozłożyła nuty na pulpicie.

— Nie wiem, czy pan zna... — odzywa się obojętnie — śliczną piosenkę Jareckiego? Całość taka prosta a rzewna, że doprawdy nie wiadomo, czym się bardziej zachwycić: muzyką czy słowami.

Uderzyła kilkanaście taktów przegrywki i zaspiewała:

„Jak mi żal tych dni minionych

„Co nie wróca już...

„Skarbów serca utraconych,

„Perł myśli pogubionych,

„Zwiedlonych życia róż...”

Witold usiadł w głębi i oczy dłonią zakrył.

Kara właściwie nie śpiewa, ale nuci. Głos jej niewielki, szczupły w skali, nadaje się do tonów słodkich, lirycznych, jakby łzami i tęsknotą nabrzmiały.

Witold słucha i duma:

— Co w tej piersi dziewczęcej tak lka, tak się skarży. Jakie tam myśli rodzą się pod czaszką. O czym wogóle myśli i marzy ten umysł bogaty, tylko dziwnie powichrzony. Dziecko widocznie zawczasie filozofować zaczęło i zawczasie z dziecka przeistoczyło się w kobietę. Biedne, harde dziecko! Gdyby znalazła człowieka, któryby potrafił...

Zgrzytnął zębami.

Ból nim szarpnął.

Ta dziewczyna, należąca do kogoś, ktoby miał do niej prawa męża i pana... Ta dziewczyna tak niezmiernie pociągająca tą swoją dzikością, nerwowością i tragicznym wyrazem całej postaci. Nie! Onby tego nie zniósł. Nie! Stał za krzesłem Kary.

Na poręczu zaczepił się rozpleciony do połowy jej warkocz.

Witold delikatnie ujął go palcami. Zdało mu się, że ona tego nie zauważy.

— Niech pani śpiewa... Niech pani śpiewa jeszcze... — prosi, pochylając się nad nią.

Kara odwraca się szybko, tak szybko, że pasma włosów owinęły mu się koło palców splecione, bezradne.

— Co pan...

I umilkła.

Za cenę życia nie wymówiłaby ani słowa więcej.

Czuje na sobie jego spojrzenie... Jakie spojrzenie!...

Kocha ją... kocha, kocha!

Dla niej, nie już po za tem nie istnieje!

Dreszcz nią wstrząsa, dreszcz trwogi i rozkoszy.

— Mój... mój... — wydiera jej się okrzyk z głębi piersi.

Ale Witold jest już spokojny. Puszczą obojętnie jej warkocz ze słowami, którym ostry dźwięk głosu jeszcze ostrości dodaje:

— Pani chce nawet włosami kokietować.

Po co pani ten biedny warkocz wiesza na poręczach krzeseł, na świerkach w lesie, lub targa haftkami stanika. Kilka szpilek wystarczyłoby w zupełności, aby te poplątane włosy utrzymać w porządku.

Zmarszczyła się, przykro dotknięta.

— Pan dobrze wie, że to nie kokieterya, lecz lenistwo, a może i wygoda. Szpilki ciążą i włosy ciążą...

A Witold zły na nią i na siebie, mówi:

— Taki ma pani włos twardy, szorstki... aż nieprzyjemny w dotknięciu.

— Bo i naturę mam twardą, szorstką... — kończy ze smutnym uśmiechem Kara.

Sklada nuty i wstaje. Łzy ją duszą w gardle.

(Dokończenie nastąpi).



PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.



Józef Weyssenhoff: „Sprawa Dołęgi”. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1901.

Oprócz kilku nowel pomniejszych, dwie tylko powieści wydał dotąd Weyssenhoff, a jednak imię jego znanem jest dzisiaj nietylko w naszej literaturze.

Talent to duży i nawskróś swojski. W „Żywocie i myślach Zygmunta Podfilipskiego” dał nam świetną charakterystykę pojęć sfer wyższych, wśród których wzrósł i które oczywiście zna wybornie. „Sprawa Dołęgi” maluje nam obraz, osnuty na tem samem tle; słusznie autor obiera za teren działania to środowisko, do którego sam należy; nikt bowiem nie może mu zarzucić nieznajomości opracowywanego tematu. Jakkolwiek Weyssenhoff w dość ciemnych barwach maluje nam dusze naszych „błękitnych,” niepodobna jednak powiedzieć, że swoje gniazdo kala.

Nie—Weyssenhoff kocha ich bardziej może od innych, nawet w słowach oskarżenia odczuć można nutę serdecznego bólu, spowodowanego smutnym obowiązkiem wypowiedzenia gorzkiej niejednokrotnie prawdy. Autor całą duszą pragnie odrodzenia tych sfer.

Posiadając możność, dzięki kapitałom i poważaniu, jakie mamy dla zasług ich poprzedników, przodowania społeczeństwu, dzisiaj—gdy nowe stulecie powstaje pod hasłem zrzeszania się, gdy wszystkie ludy dążą do poznania się i zbliżenia dla osiągnięcia dobrobytu swych krain, który możliwy jest tylko podczas pokoju, nasi błękitni rzucić się winni na pole pracy kulturalnej i ekonomicznej, dotąd w naszym kraju leżące przeważnie odłogiem, dając tysiącom rąk roboczych zarobek i opiekę moralną, niwecząc w ten sposób wszelkie podstępne knowania malkontentów społecznych, którzy w celach najczęściej wyzysku prowadzą rzesze nieświadomych na błędne tory.

Zaspakajając według sił i możliwości potrzeby klas pracujących, starając się o podwyższenie poziomu ich oświaty, przez zakładanie jaknajwiększej ilości odpowiednich szkół zawodowych, kas oszczędnościowych i herbarciarni, gdzieby po pracy odpoczynek i godziwą rozrywkę znaleźć mogli, połączoną z pożytkiem dla ich umysłu, pozyskamy ich życzliwość i wdzięczność, a także niewątpliwie i korzyść materyjalną, ponieważ pracować będą lepiej i intensywniej...

Ponieważ dobrobyt ludności zależnym jest w pierwszym rzędzie od rozwoju ruchu przemysłowego, przeto wszyscy ludzie dobrej woli, a za takich Weyssenhoff pragnąłby uważać „błękitnych”—winni są przyczyniać się do rozbudzenia wytwórczości krajowej i ułatwienia jej eksploatacyi.

Sprawa budowy szos w kraju naszym jest pierwszorzędnego znaczenia pomiędzy wielu innemi; tej to sprawie pragnie służyć bohater powieści, inżynier Dołęga.

Korzystając z pobytu w Warze, majątku książąt Zbaraskich, po dokonaniu robót niwelacyjnych, przyjmuje zaproszenie młodego księcia, swego kolegi uniwersyteckiego i pozostaje na polowaniu, aby mózdz poznać przybyłych do Waru bogatych ziemian okolicznych, w celu uzyskania ich poparcia przy wyrobie koncesyi na budowę szos i zainteresowania ich tą sprawą. Sądzi, że zdoła przekonać ich o pożytku społecznym zapoczątkowanej sprawy, i że uzyska współudział ich kapitałów, pragnąłby bowiem bardzo, ażeby idea jego urzeczywistnić się mogła jedynie przy pomocy krajowych kapitałów.

Tak marzył Dołęga, stojąc w lesie w piękny zimowy ranek na wyznaczonym sobie stanowisku. Cisza zaległa dookoła, wtem dał się słyszeć stuk wozu, na którym jechał chłop z babą, owiniętą w chusty; może wioził ją chorą do doktora, do miasta? Dołęga usłyszał kilka przytłumionych słów pozdrowienia, a w odpowiedzi na to zupełnie już wyraźne— „zawracaj do dyabła.“ Chłop jednak jechał dalej, uchylając co chwila czapki, przeklinany przez myśliwych—i słusznie—mogła przecież zaraz wyruszyć naganka, lub mógł się lis zwrócić z drogi, spłoszony turkotem wozu.

Przeprowadzając oczyma tę furmankę chłopską, myślał Dołęga, że Francuz, Szwajcar albo Belgijczyk przejechałby tą drogą przeznaczoną przecież dla użytku publicznego i ani w głowie nie powstałoby mu witać nieznanomych ludzi, a ci znowu nie przekliniliby go zapewne.

Ta scena tak prawdziwa, tak żywcem podchwycona z natury i zarysowana tak plastycznie, świadczy najwymowniej, jak znakomitym i myślącym obserwatorem jest Weysenhoff.

Obok Dołęgi na posterunku myśliwskim z jednej strony stał baron Kersten, z drugiej hrabia Adam Szafraniec; na tego ostatniego, jednego z najbogatszych ludzi w kraju, Dołęga zwracał bardziej uwagę. Słyszał bowiem niejednokrotnie, że Szafraniec robi wiele dobrego, unikając jedynie rozgłosu. Strzelając dobrze, Dołęga zabił piętnaście zajęcy, lisa i kozła. Wiedział, że tem pozyska sobie choć trochę praw obywatelskich w tem gronie utytułowanych, którzy niechętnie dosyć patrzyli na „pana inżyniera.“ A on pragnął pozyskać ich względy dla dobra swojej sprawy.

Marzenia zawiodły Dołęgę.

Książę Janusz Zbaraski, hrabia Adam Szafraniec i Hektor Zawiejski wydelegowani w sprawie koncesji dróg bitych do Petersburga, powrócili z niczem. Nie dlatego, aby nie mogli uzyskać koncesji, lecz ponieważ o nią nie starali się wcale. Hrabia Szafraniec, komunikując tę wiadomość Dołędze, oświadczył, że zaniechali starań o koncesję dróg bitych, ponieważ mają zamiar uzyskać pozwolenie na budowę kolei. Dzięki przeto nieudolnym protektorom projekt został pogrzebany. Dołęga wyrzucał sobie, że lekkomyślnie powierzył sprawę ludziom, których nie znał dobrze, nie powinien był przeto zbyt polegać na nich. Przypominał sobie z jakim lekceważeniem odzywał się o nich milionowy przemysłowiec Helle; przykro mu było tem bardziej, że musiał mu teraz w duchu przyznać słusność.

Dzień, w którym się dowiedział Dołęga o rezultacie w sprawie szos, był dla niego prawdziwie fatalnym.

Wieczorem otrzymał list od Halszki Zbaraskiej, z którą podczas pobytu w Warze związał nici serdeczne, z zawiadomieniem o zaślubieniu wkrótce przez nią kuzyna jej Adama Szafranca. Tych ciosów zawiele było Dołędze. Zapadł ciężko na tyfus; dopiero po upływie dziesięciu dni lekarze orzekli, że niebezpieczeństwo minęło.

Kiedy zaczął przychodzić do zdrowia, pewnego popołudnia służący wszedł do jego pracowni i oznajmił o przybyciu jakiejś mło-

dej pani, wręczając kartkę, na której ołówkiem skreślone były słowa „Przyszłam. Proszę mnie przyjąć.“

Po chwili Dołęga wprowadził do gabinetu swego Halszkę. Przyszła, aby oświadczyć gotowość zerwania z Szafrancem i poślubienia Dołęgi. W szczerych słowach wypowiedziała mu swój niepokój podczas jego choroby i żał serdeczny, że stała się tego przyczyną. Ale teraz pragnie to wynagrodzić, pragnie zostać żoną Dołęgi.

Weysenhoff nie łączy Halszki z Dołęgą. Zbyt dobrym jest psychologiem, za dobrze zna swój świat, jego uprzedzenie i przesady. Wie, że czekały by ich tysiączne przykrości ze strony jej rodziny—i że one zatrąły by im pożyście. Odrzuca przeto oświadczenie Halszki, wiedząc, że później mogła by żałować swego kroku. Wszak on jakkolwiek szlachcic jest tylko inżynierem; a ona bodaj najbogatszą księżniczką na wydaniu...

To też kochając Halszkę szczerze, woli poświęcić możność posiadania szczęścia, niż narazić ją na nieuniknione przykrości.

A jednak szkoda, że autor nie skojarzył tej pary. Jeżeli kto, to Dołęga, mógłby jako mąż księżniczki Zbaraskiej przyczynić się niewątpliwie do pobudzenia „błękitnych“ na torach pracy społecznej. Rozporządzając odpowiednimi środkami, mógłby zapoczątkować wiele spraw, mających na celu podniesienie ekonomiczne kraju.

Rolę tę autor powierza młodemu księciu Andrzejowi Zbaraskiemu. Najważniejszym wydarzeniem dotychczasowego jego życia była sielanka miłosna z panną Helle, z którą ożeniłby się chętnie, gdyby nie stanowe veto rodziny.

Pod wpływem przeczytanego życiorysu swego pradziada, w którym najbardziej uderzało go „ciepło nieklamanej czci, wiejące ze słów historyka“—w duszy Andrzeja powstawały jakieś nieznane pragnienia czynu. Na pożółkłych kartkach manuskryptu, który mu dał do przeczytania dogorywający stary burgrabia zamku Marsowicz—czytał młody książę wiele myśli podniosłych, znajdował wiele pięknych projektów wprowadzonych w czyn, lub zapoczątkowanych, pierwszorzędnego znaczenia dla kraju—a między innemi, plan dróg bitych, nie wykonany z powodu zaszłej w tym czasie śmierci pradziada.

I Andrzej zaczął pojmować, że życie nie dla zabaw i uciech danem jest człowiekowi i że każdy powinien pracować dla ogólnego dobra; a ci, co mienią się czołem narodu—mają dlań stokroć większe obowiązki.

Być może, że zmiana ta, która się przejawia w duszy księcia Andrzeja—jest nagłą i mało umotywowaną; wiemy jednak, jak często w życiu zdarzają się podobne procesy psychiczne.

Oprócz Dołęgi, który jest jakby z jednego szlachetnego kruszcu wykuty, dodatnie typy męskie reprezentują: stary dworzanin Marsowicz, ciałem i duszą przywiązany do rodu, na którego usługach lata strawił, oraz przemysłowiec Helle. Wszystkie postaci występujące w powieści zarysowane zostały wybornie; żadnej zarzucić nie można przesady w rysunku.

Weysenhoff wyznaje, że najszczytniejszem

zadaniem piśmiennictwa jest budzenie uczuć altruistycznych; to też „Sprawa Dołęgi,“ każdemu, kto ją przeczyta—pożytek tylko przynieść może.

Ostatnie dzieło Weysenhoffa zaliczyć należy do najwybitniejszych w naszej literaturze.

Życzyć tylko należy, aby świetlana postać bohatera powieści, inżyniera Dołęgi—jak najwięcej znalazła naśladowców.

Potrzeba nam bowiem takich ludzi, pełnych hartu i silnej woli.

Dołęgę niepowodzenia i zawiści ludzkie nie ugną, nie złamią w nim energii; iść on będzie przez życie, zapatrzony w swój cel promienny—dobro bliźnich.

L. Reinschmidt.



Muzeum sztuki w Krakowie.



Każdej niedzieli, tłumniej, aniżeli w dni powszednie, spieszą Krakowianie do Muzeum i na Wystawę obrazów.

„Polskie Ateny“ mają takie oazy, gdzie można zapomnieć o otaczającym świecie, rozkoszując się arcydziełami sztuki. Muzeum w Sukiennicach wabi nowością urządzenia. Żywymi dla nas pozostają ci wielcy mistrze, istniejący czemś trwalszem od samego życia: dziełami dokonanymi. Tę ich puściznę przychodzimy zobaczyć i obliczyć znowu.

Znawcy roztrząsali oddawna zalety i wartość rzeczywistą rozmieszczonych obrazów; nam profanom wolno mieć własne upodobania, sympatyje i prawo wyboru. Ale czyż trzeba być znawcą na to, by stanąć w zdumieniu przed olbrzymimi płótnami Jana Matejki, który niby gospodarz Muzeum i Krakowa, dostarcza niezatartych wrażeń. Te jego barwy żywe, zdecydowane, ten *kunszt* roboty, ta piękna, wielka dusza mistrza, wcielona w jego dzieła, natchniona namiętną miłością sztuki, to wszystko porywa i zachwyca. Uderza gorączkowy pośpiech w pracy—jak gdyby przeczuwał, że czas krótki tylko pozostanie na ziemi—ten wielkolud, Jan Matejko!

Wyrasta nam po nad głowami, coraz wyżej i wyżej, i czujemy się karłami, wobec tego nadmiaru pracy!

Ten pracownik, mnożący swe wątłe siły w miarę obowiązków do spełnienia, w miarę nieszczęść osobistych, walących weń, jak gromy w czasie burzy wałą w wybijające drzewo,—podołał wszystkiemu, co zamierzył, walecząc niemal ze śmiercią i wydzierając chwile wieczności. Tytaniczne to nazwisko żyje i żyć będzie w świecie, bo wysoko nosił sztandar sztuki! Od najdrobniejszego szkicu do najwspanialszych płócien, wszystko to jest jego geniuszu, tak oryginalnego, że pozostaje sam w sobie jedyny, odosobniony... jak Grotter, jak Mickiewicz, jak Chopin, jak zresztą każdy geniusz.

I zakłęci w tem osobnem państwie artysty-poety, zadumaliśmy się o nim samym, o tej imponującej sile twórczej jego, i o tem

wszystkiem, co ten jeden człowiek zdziałał dla sztuki w kraju. Wzrok błądził po ścianach Muzeum, gdzie rozwieszono arcydzieła tylu nieżyjących już artystów: Gieryski, Kossak, Bilińska, Rodakowski, Pruszkowski...

Modrzejewskiej, Reszkówny portrety. Ileż wspomnień budzą te twarze, te nazwiska! O Modrzejewskiej stanowczo trzeba by studium napisać, przywołując na pamięć czar roztaczany i wywoływane wrażenia. Jej występy stanowiły epokę w kraju. W sprawozdaniach pism współczesnych szukać można odbicia tych wrażeń, i w pamięci naocznych świadków zresztą... Rozpatrujemy się dalej po ścianach Muzeum.

Tu znowu „Dar Kobiet“ pyszna głowa Mickiewicza, rzeźbiona przez serdecznego Marcellego Guyskiego. Jak on kochał tę głowę wieszczą! Sam jeden posiadał maskę pośmiertną, znał Mickiewicza i pragnął stworzyć arcydzieło, godne wielkiego pierwowzoru. Marzył, że jemu będzie dano stworzyć pomnik i w Rynku umieścić, a gdy to chybiło, chociażby popiersie na Zamku, gdzie spoczywają już zwłoki Mickiewicza. Ale marzenie artysty nie miało się spełnić. W Muzeum za to, jest przystępniejszy tłumom.

W historii sztuki, znakomity rzeźbiarz-portrecista, powinien mieć piękną kartę. Żaden może z naszych nie stworzył tylu wspólnych popiersi współczesnych piękności.

Pomiędzy portrecistami naszymi, odznacza się także już nieżyjący Rodakowski. Znaną jest galeria jego pysznych portretów. Jeden (en pied) Leona Kaplińskiego znajduje się w Warszawie, jako własność prywatna. Inne, przepyszne, posiada wdowa po wielkim artyście, mieszkająca w Krakowie. Ile wdzięku w oddawanych postaciach, ile prawdy! Krew zdaje się kraść w żyłach. Przed żadnym cudzoziemcem nie potrzebujemy się wstydić naszego zbioru arcydzieł! Niejedenby się zadziwił, że ich znajduje się tak wiele w Krakowie, niejedenby pozazdrościł.

Zbiór kamei zalicza się do najbogatszych, cudne bo są istotnie! W ogóle nagromadzone bardzo cenne tu pamiątki, a sposób urządzenia Muzeum, staraniem młodego dyrektora Kopery, jakkolwiek spodziewano się po nim wiele, twierdzimy z radością, przeszedł oczekiwania. Jest to sposób europejski, t. zw. wysoce artystyczny, a przytem ułatwiający badanie zbiorów, niezmiernie praktycznie. Sala szkiców, rysunków, z przesuwaniem półkami, jest u nas zupełną nowością. Tam znajdujemy dzieła i pamiątki wszystkich naszych znakomitości. Oderwać się trudno od tych bogatych zbiorów; godzinami całymi można przepatrywać zajmujące szafy prawdziwych arcydzieł Matejki, Jacka Malczewskiego i tylu innych.

To Muzeum przedstawia całą historię sztuki polskiej w obrazach. Co się z nią stało w ciągu pół wieku! Jakie przeobrażenia sprowadza każde pokolenie! Obrazy poszczególne są niby etapami na drodze cywilizacji.

Nikt dziś nie może zatrzymać się w Krakowie, bez odwiedzenia tej skarbnicy pamiątek, stanowiącej dumę miasta.

Grottgera niema wiele prac: są tylko obrazy: „Muzyka“, „Komedia“, „Pożegnanie“, „Ofelia“, „Portret rektora Sawiczewskiego.“

Matejki „cudne dzieci“ (depozyt), „Hold pruski“, „Wernyhora“, nie licząc szkiców. Żeby nie więcej na sali nie było, wystarczyłoby to do dania nazwy wystawy *europejskiej* naszemu Muzeum i każdemu innemu, w stolicach. Leona Kaplińskiego mamy portret Bohdana Zaleskiego, Piotra Michałowskiego pyszne studia (przeważnie konie). Gieryski, Kotsis, zapełniają Salę typami i charakterystycznymi pejzażami, Chelmońskiego mamy „Dzielną czwórkę“, „Burzę“ i „Folwark.“ Wojciecha Kossaka „Portret Zybkiewicza.“ Już to kiedy o portretach mowa, Muzeum może się pochwalić zbiorem nader świetnym; do poprzednio wymienionych, dodajmy Pochwalskiego Pawła Popiela, Grabowskiego K. Ujejskiego i własny. Jest tegoż artysty portret roboty Loeflera Leopolda. Hadziewicza Portret Józefa Brodowskiego, Rejchana, Szynalewskiego, starego Stattlera, Brodowskiego, portrety. Wańkowicza jest też portret Ant. Goreckiego, Axentowicza portret Wiktora Orłowskiego, ofiarodawcy licznych zbiorów do Muzeum. Leopolskiego portret K. Grocholskiego, Olgi Boznańskiej portret artysty, i jeden z najpiękniejszych z całej wystawy, portret Anny Bilińskiej, znany z wielu wystaw, prawdziwe arcydzieło. Malczewski Józef ofiarował też swój portret. Mehoffer, Kotsis, Tadeusz Ajdukiewicz (portret A. Hoffmanowej), Heleny Modrzejewskiej i Reszkówny, o których już była mowa. Juliusza Kossaka, jest „Stadnina“, „Bal kostiumowy“, i „Powitanie Areyks. Rudolfa i Stefani“, przez banderyę Krakusów, na Błoniach,“ Malczewskiego „Śmierć Elenoi“, Piotra Stachiewicza „Legendy o Matce Boskiej“, Siemiradzkiego „Pochodnie Nerona“, tak dobrze znane! Włodzimierza Tetmajera „Święcone“, nadzwyczaj barwne i świetne.

Z rzeźby znajdują się w Muzeum prace Lipińskiego, Rożniatowskiej, Gądomskiego, Błotnickiego, Wacława Szymanowskiego, Piusa Welońskiego („Gładyator“), oraz „Selavus saltans“, Bergera, Lewandowskiego (portret Grottgera) Rygiera Matejko, Antoniego Madeyskiego, Kurzawy, Guyskiego, oprócz popiersia Mickiewicza, jest jeszcze „Anioł śmierci.“ Wojtowicza prac kilka i wielu innych.

Z zabytków kultury są fortepiany z pierwszych lat XIX wieku, świeczniki i bardzo piękne zegary. Dla uporządkowania reszty licznych zbiorów, którymi Muzeum rozporządza, trzeba miejsca i *pieniędzy*! Ujrzymy rzeczy cenne i piękne w przyszłości. Do Sali rysunkowej powrócimy jeszcze z czasem, jako też do innych Wystaw krakowskich.

W.

Kronika działalności kobiecej.

— Stowarzyszenie wzajemnej pomocy nauczycielek, wychowawczyń i bon w Gracu, dobrze zorganizowane i wielce ruchliwe, wykazało za ostatnie dwa lata znakomity rozwój swej pożytecznej działalności. Stowarzyszenie to pozostaje w związku ze stowarzyszeniami kobiecymi katolickimi w Austrii, z *Home suisse* i Kasą samopomocy nauczycielek w Wiedniu, z *Home suisse* w Peszcie, z Towarzystwem

ochrony bon w Szwajcarii, ze Szkołą wychowawczyń w Stockholmie i z kilkoma stowarzyszeniami, pracującymi w podobnych celach we Włoszech. Stowarzyszenie liczy 6 członkiń honorowych i 700 zwyczajnych, a posiada już znaczne kapitały zapasowe. W domu, będącym własnością Stowarzyszenia, w roku zeszłym 168 kobiet różnej narodowości (większość Austriaczek) znalazło przytułek. Wśród tych liczono: 36 poszukujących pracy (29 znalazło wkrótce odpowiednie zajęcie); 41 potrzebujących kuracji; 34 znajdujących się w przejeździe w dalsze strony; 9 składających państwowe egzaminy; 48 mieszkających jako pensjonarki. Nadto 191 kobiet płaciło za swe utrzymanie od 1/3 do 2 koron dziennie.

— W Londynie utworzył się komitet, pod nazwą „South African Expansion Committee“, dostarczający zapomóg i protekcji kobietom i dziewczętom, emigrującym do południowej Afryki. Oprócz wielu dam z najwyższego świata londyńskiego, do komitetu należą: lord Milner, Chamberlain i lord Wolseley. Komitet gorąco popiera ruch emigracyjny kobiet do Afryki, zwłaszcza zaś próby i żądania kobiet intelligentnych skwapliwie zostają uwzględniane. W niektórych zakładach naukowych dla dziewcząt, jak np. w Gloucester, w Liverpoolu, Leeds, otwarto specjalne kursa, trwające pół roku, a mające na celu odpowiednie przygotowanie emigrantek. Na kursach tych wykładane są: higiena, dozorowanie chorych, sztuka kulinarna, zastosowana do produktów w koloniach, krawiecczyzna i gospodarstwo rolne.

Nadto, stowarzyszenie kobiet angielskich, noszące miano „Opieki nad emigrantkami“, otworzyło w Londynie dom, w którym kobiety i dziewczęta, przybywające z prowincji i udające się w drogę, znajdują pomieszczenie na czas pobytu w stolicy. Młode dziewczęta, zamierzające po za granicami kraju szukać chleba jako służące, w domu owym przebyć mogą praktycznie zastosowane zajęcia, przygotowujące je dokładnie do obowiązków dobrej sługi. Dziewczęta, udające się do Afryki znajdują w domu „Opieki“ objaśnienia wyczerpujące i zachętę, popartą materyjalną pomocą.

— Dr. Marya Montessori, znana kierowniczka ruchu kobiecego we Włoszech, miała w Rzymie, przed doborową publicznością, odczyt o rozszerzonych polach pracy dla intelligentnych kobiet. Panna Montessori założyła w Rzymie szkołę dla nauczycielek, chcących poświęcić się mało rozwiniętym dzieciom i sama w szkole tej przez lat kilka wykładała, świecąc swym przykładem. Obecnie jest ona profesorem antropologii i higieny w „Scuola di Magistero“ w Rzymie.

— W ostatnich dniach z. m. panna Ida Szendeff, po złożeniu egzaminów i obronie rozprawy, otrzymała w Uniwersytecie peszteńskim stopień doktora medycyny.

Z. S.

Treść numeru:

Od redakcyi. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoësicka (ciąg dalszy). — Przyśtań, powieść współczesna, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Na spotkanie słońca (wiersz), przez Henryka Rygiera. — Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Alexandra Bolesława Brzostowskiego (ciąg dalszy). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Jak sen..., nowella, przez Wandę Grot-Bęczkowską (ciąg dalszy). — Przegląd piśmienniczy, przez L. Reinschmidta. — Muzeum sztuki w Krakowie, przez W. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz szósty „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 21). — Przepisy kuchenne, Obiad na niedzielę, oraz Tablica krojów.

EDELWEISS DE LA TZARINE

NOWE MODNE PERFUMY

Essencja, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.

Victor Vaissier, Perfumerja w Paryżu po za konkursem. Członek Jury na Wystawie 1900 r., prawdziwy wynalazca Mydła Congo Imperial.

Pensja żeńska prywatna ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza № 44, róg Nowogrodzkiej,

otworzona zostanie z początkiem roku szkolnego 1901 — 3.
Adres tymczasowy: **Sienna 20**, od 4-ej do 5-ej po południu.

Całun Jezusa Chrystusa

Stydium naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogiej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony
19-ma ilustracyami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSSTUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz” Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

Dezynfekcja

i czyszczenie
pierzy, włosów
materacowych.

Ubrania po cho-
rych etc.

Marszałkowska 33.

ANNA JASIEŃSKA

przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ul. Hr. BERGA Nr. 8.

Ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży,
że zapis na rok 1902/3 rozpocznie się 20 sierpnia. Egzamin 2 i 3 września. Kurs
nauk 4-go września. Metryka i świadectwo szczepionej ospy wymagane.

W Zakładzie naukowym 6 klasowym żeńskim

MARYI MATUSZEWSKIEJ

przy ulicy LESZNO № 28 w Warszawie.

Egzaminy zaczną się 2 Września. Lekcje 4 Września.

Zadajcie w Składach Aptecznych i Aptekach

INSEKTIN

skutecznie tępi wszelkie robactwa.

REPREZENTANT I SKŁAD HURTOWY

ZYG. MAMLOK

WARSZAWA, Złota № 36.

SOSNOWIEC, ul. Modrzejowska.

PRACOWNIA KÓLDER

MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**

Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzaminy dla nowowstępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczną się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjal-
ności handlowej, grup takowych,
oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.



Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność
i puszystość,

OSTRZEŻENIE.

Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań
Pudru „IRIS” zupełnie nieszkodliwego, który
dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie
uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publicz-
ność o zwracanie
przy kupnie uwagi
na zamieszczone
obecnie marki
ochronne, zatwier-
dzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na
każdym pudełku. Naśladowania będą prawnie
poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opa-

kowaniu z podpisem **H. LACHS,**

— pudełko po kop. 15, 30, 50, 75. —

Rodzice, pragnący kształcić swe
córkę w Krakowie, znajdą dla nich
wszelką wygodę, opiekę macierzyń-
ską i na żądanie lekcje muzyki, u pani
M. Przybylskiej, wdowy po lekarzu,
a zamieszkałej tamże przy ul. **Retory-
ka № 2. Kraków.**

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

„ROMANA“

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie,
(wydaje patenta cechowe). Wykonuje, suknie,
szlafroki, bluzki, halki, matinki.

W VI klasowym zakładzie
naukowo - wychowawczym żeńskim

z pensjonatem i klasą wstępną

JADWIGI KOTWICKIEJ

w Warszawie, przy ul. **BRACKIEJ № 18, m. 6.**

Zapis uczennic nowowstępujących na rok
szkolny 1902/3 rozpocznie się 25 (12) Sier-
pnia. Egzamin wstępny 2-go i 3-go Wrze-
śnia (20 i 21 Sierpnia). Początek roku szkol-
nego 4 Września (22-go Sierpnia). Uczennice
zeszłoroczne obowiązane są dopełnić zapisu
osobiście lub listownie przed d. 1-ym Wrze-
śnia (19 Sierpnia).

OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, **TANIO!**

STEEAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Fr. Coppée. ZBIOREK POEZJI: Błogosławieństwo. (Ustęp wojny hiszpańskiej). —
Głowa sultanki. — Romans Joanny i inne.

Cena 25 kop.

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyżka 11.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Юля 1902 г.